



Warszawa d. 22 Stycz. (3 Lutego) 1878.

№ 5

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta № 415 (nowy № 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Sprawa wschodnia i prasa niemiecka.—Dla Chorych—Kresy dziejowe. Szkic A. G. Bema. (c. d.).—Osady polskie w Stanach Zjednoczonych, przez Litwosa. (d. c.).—Stronictwa w Galicyi. II. (dokończ.).—Aleksander hr. Wielopolski. (wspomnienie pośmiertne).—Książd Gérard przez Emila Zolę.—Kronika Powszechna.—Przegląd Polityczny.—Do wszystkich.—Echa V.

### Sprawa wschodnia i prasa niemiecka.

Świat napróżno sobie łamie głowę nad warunkami pokoju, jakie podyktowane zostaną w Kazanlyku, Adrianopolu, a może nawet w samym Carogrodzie. Do chwili w której to piszemy, nikt ani ich natury, ani rozciągłości nie zna, z wyjątkiem toczących negocyacye, a ci, jak donoszą z Konstantynopola, postanowili je zatrzymać jeszcze w tajemnicy. Dopóki więc nie przemówi telegraf, wszelkie zaciekania się w tym względzie będą czczą i daremną pracą, budowaniem na powietrzu, pisaniem na bieżącej wodzie. Trzeba się więc zgodzić z przeznaczeniem i czekać. Tym czasem może nie być bez interesu choćby psychicznego, rozpatrzenie się w poglądach, jakie wypowiadają różne, mniej lub więcej interesowane narody przez usta swej prasy o obecnem położeniu, które katastrofa na Wschodzie przygotowała.

Już w jednym z poprzednich artykułów wypowiedzieliśmy prawdopodobny stosunek Anglii do kwestyi wschodniej; a chociaż wyrażone tam poglądy w oczach osób, przywykłych tradycyjnie do uważania Albionu za głównego protektora Turcyi, mogą uchodzić za paradoksalne, dotychczas jednak fakta nie tylko nie osłabiły naszych wskazówek, ale wzmocniły je raczej. Dowodem tego — śnieżysta bładość mowy tronowej królowej Wiktorji, dotychczasowe dokumenta złożone w parlamencie, oraz półgębkiem dawane objaśnienia ministrów, na półgębkiem zapytania opozycyi. Z takim hałasem zapowiadana sesya parlamentu angielskiego, dziś już niczyjej prawie uwagi nie budzi, skoro do bezpośredniej akcji, która jedna mogła zmienić położenie, nie przyjdzie. Czy Anglia wskazaną przez nas rolę na Wschodzie teraz już odegra, czy też swe zamiary jeszcze odroczy, będzie to zależało od wypadków; nikt jednak dziś, zdaje się, nie wątpi, iż „całości” Turcyi bronić nie zamierza, ani nawet bezpośrednio pokojowi między Turcyą a Rosyją, o ile jej interesa nie będą zagrożone, tamy klasć nie myśli.

Ten fakt musieliśmy zaznaczyć, aby zrozumieć zapatrywanie się angielskiego rządu i narodu, a zarazem jako podstawę, na

której gruntują się zapatrywania Niemców, objawione przez dzienniki, tajemne życzenia germanizmu w sprawie wschodniej wyrażające. Dopóki bowiem wojska tureckie stawiały opór, dopóki sądzono, że Anglia całości Turcyi bronić będzie, prasa niemiecka nie wypowiadała się jasno z tem, co leżało jej pod sercem. Dziś tem dobitniej głos jej się rozlega, a głosowi temu przewodniczą najbardziej interesowane niemiecko-austriackie organa. My, jako spokojni widzowie, postaramy się te głosy zebrać i przed oczyma czytelników postawić, bez żadnych z naszej strony komentarzy.

W sześć tygodni po kapitulacyi Plewny — mówi dziennikarstwo niemieckie — Rosyjanie są panami Ayryanopola, i to nie jak w 1829 r. lecz po całkowitem prawie zniszczeniu wojennych sił Turcyi, tak, że nie prawie nie przeszkadza marszowi na Stambuł i Gallipoli. Krótki, ale z nadzwyczajną ścisłością i zręcznością prowadzony pochód zimowy przez Balkany uważany być musi za jedno z arcydzieł militarnych, rzadkich w historii wojen, a którego po błędach letniej kampanji trudno się było spodziewać. Wszelako skruszył on jako następstwo wszelki opór Turcyi, oddał w ręce zwycięzcy dwie trzecie terytorium państwa Osmanów w Europie i stworzył sytuację polityczną, z jakiej mocarstwo nie wychodzi już nigdy bez najradykałniejszych przeistoczeń, albo śmierci. Wypadki te do oczywistości dowiodły, iż czterowiekowe gospodarstwo Turków w ich posiadłościach europejskich, że niedotrzymywane a przed dziesiętkami lat obiecywane reformy, nie wyłączając najnowszej konstytucyi — sprowadziły takie następstwa, które Turcyę, jako państwo i to państwo w znaczeniu europejskiem, czynią niemożliwą. Jedynem jej jeszcze tytułem bytu była siła militarna i długi. Ze zniszczeniem jej wojskowej potęgi znikła reszta państwowej siły, a moc rządu rozsypała się w gruzy. W Konstantynopolu panuje przerażenie, rząd postradał wszelką władzę, a fanatyczna osmańska ludność złowrogo spogląda na kolonie tej Europy, która dotąd nie kiwnęła palcem, aby w obronie Turcyi i panowania Osmanlisów stanąć.

Rzeczy doszły tak daleko, iż w najwyższych sferach serajowych radziby może widzieć w murach Konstantynopola błysk obcych bagnetów. Izba, grająca rolę konwentu i robiąca taką pozę, jakby miała naśla-

dować rolę jakobinów 1792 r., przezornie została zamkniętą i czy kiedy otworzoną będzie, nikt tego przewidzieć już nie może. Łatwo zrozumieć, iż po za obrębem Osmanów, którzy w obecnem stadium mogą się zdobyć jeszcze na szereg krwawych rzezi, ale już nie mają siły oprzeć się nieprzyjacielowi, Turcyja nie może liczyć na podtrzymanie przez żadną inną w swem łonie narodowość. Szereg długich ucisków, systematyczne wynaradawianie i ponizanie narodowości tych — nietylko nie uczyniły z nich podpory państwa, ale jego przeciwników.

Wprawdzie surowe te narody, jak Bułgarzy, Bośniacy, Hercegowińcy, Czarnogórcy i t. d. nie wiele ustępują Turkom, a pod rozmaitemi względami są nawet od nich niżsi, lecz posiadają pewne zadatki, które przy zmianie okoliczności mogą uczynić te ludy *materyałem*, cywilizacyę europejską przyjąć zdolnym. Turcy zresztą sami swą sprawę przesadzają. Ustupując w najwyższym popłochu, palą za sobą wszystko: miasta i wsie, dobytek, którego nie mogą unieść, zostawiając goły step. Dla czego? Dla tego, że nie czują pewno się panami tej ziemi, nie sądzą, aby tu wrócili i jak przyszli hordą, hordą odchodzą.

Wobec takich faktów byłoby śmiesznością, donkiszoteryą chcieć restaurować, albo podtrzymywać to, co się samo rozpada. Kto dziś osmieli się po upływie tych sześciu tygodni mówić o „nienaruszalności” państwa sultana? Najbardziej nawet interesowani, najzaciętsi przeciwnicy zmian, Madziarzy, odstępują od złudzeń dyplomacyi zachodniej i „podział Turcyi” stawiają na porządku dziennym. *Pester Lloyd*, mówi iż nie idzie tu już teraz o całość Turcyi, ale o to, aby operacya jej rozdziału nie wypadła dla Węgier niekorzystnie; głównie nie można pozwolić na terytoryalne powiększenie się Rosyji w Europie. Anglii zaś jest wszystko jedno, co się ze słowiańskimi prowincyami Turcyi zrobi.

Dzienniki niemieckie, ich to bowiem poglądy i przekonania ciągle rozwijamy, sądzą, iż połączona Europa, a szczególnie Niemcy i Austria nie mogą pozwolić, aby Rosyja zagarnęła sobie lwia część z podziału Turcyi. Dążenia tego mocarstwa w tym kierunku są jasne: pragnie ono bowiem przez zniweczenie traktatu Paryzkiego z 1856 r. nietylko pozyskać zadość uczynienie za wojnę Krymską, ale uczynić swe stanowisko na półwy-



spie Bałkańskim niewzruszonym. Niemiecka prasa tak sobie przedstawia warunki pokoju, przedłożone Turcyi w głównej kwatery ks. Mikołaja: „Bulgaria od wybrzeży Dunaju aż do Adrianopola, a prawdopodobnie do Marcicy, składać się będzie z dwóch Bałkanem rozdzielonych prowincyj, stanowiących całość pod rządem jednego hospodara „krajowca” z wspólnym parlamentem i wojskiem do obrony kraju; jej zależność od Turcyi wyrazi się corocznie płaconym trybutem. Taki sam ustrój otrzyma Bośnia i Hercegowina z przeprowadzeniem agrarnych reform, koniecznych w tym kraju, zarządzonym przez agów i begów. Tureckie twierdze nad Dunajem, czworobok, jako groźba przeciwko słabemu sąsiadowi, Rumunii, zostaną zniesione. Rumunia otrzyma terytorjalne wynagrodzenie w Dobrudży w zamian za ustąpienie Bessarabskiego pasu Rossyi, który w 1856 r. od tego ostatniego mocarstwa traktatem paryżkim oderwany został. Serbia otrzyma okręg Niszu i Kosowo z Prizrendem i Nowym Bazarem. Czarnogóra okręgi, o których była mowa na konstantynopolitańskiej konferencji, wraz z portem Antiwari. Morze Czarne zostanie otwarte dla wszystkich statków handlowych bez różnicy narodowości, lecz cieśniny Dardanelskie będą stały otworem dla statków wojennych tylko tych narodów, które mają wybrzeża na morzu Czarnem, to jest dla Rossyi i Turcyi. Rossyja otrzyma wyższą Armenię z Batum, Karsem i Erzerum. Turcyja nareszcie zapłaci Rossyi półtora miliarda rubli kosztów wojennych; w razie zaś niemożności uiszczenia tej sumy zaraz, wojska rossyjskie zajmować będą Bulgarię aż do zapłacenia przysługującej należności”.

Warunki te — świeżo ogłoszone w *Neuen Wiener Tagblatt* — są nie do przyjęcia, jak sądzi prasa niemiecka; oddałyby one bowiem Turcyę i Austryę, a nawet południową Europę na łaskę Rossyi, sprowadzając państwo Osmanów do znaczenia wasala rossyjskiego. Sądzi dziennikarstwo niemieckie, że ani jedna wieś w Europie nie może się dostać w ręce rossyjskie. Rossyja może sobie za swe zwycięstwa naznaczać taką cenę w Azji, jaką zechce; Armeńczycy i Kurdowie z czasem będą jej wdzięczni za nasiona cywilizacji, które poniesie w ich góry, pustynie i puszczę. Co do europejskiej Turcyi znajduje się już kto inny, co ją uporządkuje. Widmo Wielko-Serbskiego państwa znikło, skoro

Serbia skutkiem protestu Austrii nie szuka powiększenia ani w Bośni, ani Hercegowinie. Nabytek starej Serbii aż do Prizrendu z częścią ludności bułgarskiej i skiptarskiej, osiadłej w XVII wieku na Kosowem, zatrudni niemało księstwo Serbskie. Przeciwno powiększeniu Czarnogóry bez morskich portów świat nigdy nie miał i nie ma. Owszem jest to najpewniejszy środek zniszczenia całego wpływu tego księstwa i podkopania jego znaczenia. Jak tylko Czarnogórcy będą się mogli rozłokować w dolinach, na płaszczyznach, opuszczają góry niegościnnie, przyrodzoną swą twierdzą i najlepszy grunt do wyrabiania się wojskowego. Nasyciwszy się tak Serbowie jak i Czarnogórcy, ochłodną w swych sympatyach dla Rossyi, boć przecież o jakiejś idealnej wdzięczności narodów nikt na serwo mówić nie może. Różno-plemienna Rumunia aż nadto ma przyczyn dziś już do niezadowolenia z Rossyi; tytuł królestwa i wzmocnienie tej placówki pod niemieckim władcą leży najmocniej w interesie Niemiec, dla których Dunaj od źródeł do ujścia musi być niemieckim, a zawsze anti-słowiańskim. Bośnia i Hercegowina jest kłopotliwą na grodą „neutralności” austryackiej, a ministerstwo wiedeńskie dziś już zapytało na miestnictwa koronnych krajów, jakich nad etatowych urzędników mają do rozporządzenia w razie potrzeby zorganizowania administracji w Bośni.

Bulgaria z tej strony Bałkanów pod księciem nierossyjskim znajdzie w Austrii wzór i pomoc do zorganizowania się odpowiedniego naturze i położeniu tego społeczeństwa różno-narodowościowego. Po tamtej stronie Bałkanów Turcyja... Wprawdzie zachodzi obawa, iż Turcyja, tak umniejszona, rzuci się w objęcia Rossyi, i że wpływ tej ostatniej tem będzie silniejszy, im Turcyja słabsza. Lecz Niemcy rachują na żywotność Greków, którzy dopomną się także swego udziału w sukcesji po chorym człowieku, a dopomną jeśli nie w tej chwili, to w czasie właściwym. Gdy zaś od Turcyi odejdą prowincje greckie, skończy się panowanie Osmanów w Europie, pozostanie już tylko Konstantynopol z Dardanelami, który, pod opieką „monitorów” wielkich mocarstw zachodnich, handlową republikę utworzy.

Taki więc jest, jak widzimy, program życzeń niemieckich, które „nieco” się róż-

nią od życzeń przypisywanych Rossyi; mają zaś to w sobie szczególnego, iż obrachowane są na następstwa sprawy, cudzemi przygotowanej rękami.

Nie dawszy ani jednego wystrzału, nie straciwszy ani jednego człowieka, nie wydawszy ani grosza, mieć wszelkie przekonanie, iż się posiada „prawo” rozporządzenia nieswojem dziedzictwem, to rzeczywiście w stylu, do którego ostatniemi czasy Niemcy aż nadto świat przyzwyczaili. Naturalnie, takie poglądy występują nie w mowie urzędowych Niemiec, gdyż w tych sferach rzeczy rafinują się cienie, nie nazywają po imieniu, ani nie występują bez obłon. Nie mniej jednak ogół narodu niemieckiego jest w zgodzie ze swymi kierownikami, a możemy być pewni, że ci dołożą wszystkich starań, aby interesa Niemców, jak wszędzie tak i na półwyspie Bałkańskim, były pilnie zabezpieczone i przeprowadzone.

## DLA CHORYCH.

Tyle człowiek, lubiący umysłową wygodę, zawdzięcza porównaniom, ile pewnikom. Przyznacie, że niemałe to ułatwienie dla ludzkiej myśli upodobnić sobie rzecz nieznaną do znanej. Mając bowiem własności drugiej, odnajdujemy tem samem własności pierwszej. Tak np. czyż nie lepiej nazwać radykalny postęp gwałtowną burzą i według niej obliczać jego skutki, niż badać naturę i wpływy składających go pierwiastków? Wiemy, że „burza wszystko niszczy i niczego nie buduje, na zasadzie więc analogii przekonywamy się, że i radykalny postęp „wszystko niszczy i niczego nie buduje”. Ażebyście dogodność i korzyści takiego wniosku zrozumieć mogli, cofnijcie się myślą na stanowisko ludzi, którym zalecono sadzić po raz pierwszy z Ameryki sprowadzone kartofle. Ludzie ci, nie znając zagadkowej rośliny a dbając zarówno o swoje doczesne zdrowie jak i wieczne zbawienie, uciekli się do porównania i powiedzieli: ponieważ kartofle są podobne do djabelskiego nasienia, więc my ich ani sadzić, ani jeść nie możemy. Ot i bardzo prostą metodą zdecydowano wartość „niebezpiecznej reformy”, przynajmniej na czas jakiś.

## ECHA WARSZAWSKIE.

### V.

Trzecia maskarada prawem zwyczaju nie traci siły przyciągania tysięcy, chciwych wrażeń i zabawy, której im nie daje. Każdy wchodzący do sali reductowej, nie uwzględniając stopnia swego dowcipu i obszerności stosunków, wnosi ze sobą zaród śmierci zabawy, która mu się urzędownie należy. Starzec, trujący każdą chwilę otaczającym go swoją zrzędnością, gimnazysta, zajęty nieregularnym faldowaniem się pierwszy raz na nim leżącego fraka, podłotek, zmieniający myśli od kilku dopiero miesięcy nie na komendę szkolnego dzwonka, baletnica, nierozumiejąca zabawy przy 2000 świadków, nareszcie cała falanga kobiet, jedynie pod maską używających swobody przechadzania się po sali, wszyscy ci przybywają na maskaradę z żądaniem od niej tego, co jej sami dać powinni, to jest wesołości. Nie chcemy tańczyć, nie chcemy rozmawiać z nieznanymi, odpowiadamy grubiaństwem na uszczypliwą zaczepkę, lub taczamy się na niepewnych po winie nogach. Jaką przyjemność dać może maskarada tym,

którzy zbliżali się do kobiet tylko w chwili zamawiania ich do tańca? Jaką przyjemność znajdzie na niej szlachcic, który przyjechał do Warszawy stracić trochę pieniędzy na śniadanka i kolacyjki, nie uwględniając tego, że na maskaradzie zaczepią go takie tylko kobiety, które zarówno w masce jak i bez maski aspirują do jego kieszeni? Jakże nie mają ziewać ci wszyscy, którzyby pragnęli być intrygowani, kiedy maskarada wolną jest od rzeszy dewotek, kapłanek wszelkiej tajemnicy i plotkarstwa?... Przy dotychczasowych warunkach nie przestanie my nigdy przewidywać, że czwarta maskarada będzie weselsza, i poszedłszy na czwartą, obiecywać sobie, że dopiero *tombola* odpłaci nam za nudy dwóch nocy. Maskarady potrzebują reformy i rzeczywiście zaczęły się już reformować. W minioną niedzielę balet nie zabierał miejsca tańczeniem i tem samem nie odbierał ochoty tym, którzyby chcieli tańczyć sami. Charakterystyczne maski, odznaczające się zawsze milczącą ograniczonością, nie rozlewały atmosfery nudów po salach, a otyle mamy nie trzymały trwożliwie za rękawy córki, szepczących miłosne słówka w uszy czarnowąsych Don Juanów. Dopóki nie zaczniemy się bawić w duchu naszych przyzwyczajęń, dopóki nie będziemy tańczyć na maskowych balach, dopóki nie zaczniemy używać swobody mó-

wienia z całą śmiałością, dopóty nie przestaniemy się ludzi nadzieją, że następna maskarada będzie lepszą. I *tombola* nie nie pomoże, choćby komitet zabaw dołożył wszystkich sił do podniesienia jej świetności, choćby dwie orkiestry na raz grały, choćby dwa razy tyle gazowych płomieni syczało nad naszymi głowami i choćby dziesięć razy więcej miejsca było do chodzenia, aniżeli dotąd. Zawsze będziemy narzekać, że nudno, ciasno i gorąco! Komitet zabaw ma zamiar podobno urządzić *tombolę* w trzech na raz salach — Ratusza, Resursy Kupieckiej i Obywatelskiej. Wyborny pomysł! Będziemy grać w *chowanego*. Panna schowa się za filarem w Ratuszu, mama ze łzami w tęsknych oczach usiądzie w Resursie Obywatelskiej, a zazdrosny kochanek będzie przesładował wszystkie domina w Resursie Kupieckiej. Po dwóch godzinach wpadną na myśl szukania się w innych salach, a po czterech znajdą się w domu i dopiero uśmieją się i ubawią niewinną grą w *chowanego*. Przytem będzie luźniej niż na placu Ujazdowskim, chłodniej niż w Letnim Teatrze, tak cicho, jak w dolnym kościele św. Krzyża i tyle świeżego powietrza, ile go Ogród Botaniczny nawet dać nie może. A jeżeli jeszcze wtedy narzekać będziemy, Komitet zabaw na rok przyszły urządzi maskarady w mieszkaniach prywa-



Porównanie więc jest środkiem w każdym badaniu niezawodnym. Między innymi metaforami, na których się nasza umysłowość wspiera, najpierwsze może miejsce zajmuje podobieństwo narodów z chorymi ludźmi. Każde, mniej lub więcej ucywilizowane, państwo przedstawia nam się w postaci takiego lub innego szpitala, mieszczącego w sobie większość obywateli. Dzieci chorują na wszystkie zbrodnie, Amerykanie — na praktyczny materializm, Anglicy — na samolubstwo, Francuzi — na niemoralność, Niemcy — na bezbożność, Hiszpanie — na żądzę krwi, wreszcie my, posiadając najzdrowszy organizm w świecie, cierpimy na chroniczną umysłową niestrawność. Ponieważ stan zdrowia innych narodów mniej nas obchodzi, więc zastanówmy się nad własną jedynie słabością.

Widocznie Pan Bóg, chcąc lud wybrany zabezpieczyć od niebezpieczeństwa zazdrości innych narodów, uczynił nas najdoskonalszymi, ale niezupełnie doskonałymi. Dał nam więc przymioty, jakich w przybliżonej nawet ilości i jakości nie posiada żadne inne plemię, ale dla uratowania naszego bytu wśród upośledzonych kazał nam cierpieć na umysłową niestrawność, chorobę, innym społeczeństwom całkiem nieznaną. Francuzi, Anglicy lub Niemcy nie są, tak jak my, moralni, pobożni i utalentowani; ale za to — czego im wcale nie zazdrościmy — mogą bez szkody dla swego duchowego zdrowia spożywać najbardziej trujące nauki. My znowu jesteśmy daleko wyżej od nich uzdolnieni, częściej chodzimy do kościoła i rzadko dopuszczamy się czynów karygodnych, ale w karmieniu naszego ducha musimy być bardzo ostrożni i ściśle zachowywać dyetę. Doświadczenie przekonało, że drobne nadużycie w tym względzie, prowadzi do najsmutniejszych następstw. Przypomnijmy sobie tylko, że przed kilku laty pewien młody weterynarz zadusił dwoje zamożnych staruszków, którym zabrał pieniądze. Otóż przy śledztwie okazało się, że podsądny czytał Darwin'a i inne gorszące wydawnictwa. Wprawdzie czytywał on także oba kuryery, (na nieszczęście *Echa*, któreby go jedynie zbawić mogło, jeszcze wtedy nie było), wprawdzie słuchał nieraz kazań, ale ponieważ nie figurował na liście żadnego z pism zakrystyjnnych i nie przyjmował nigdy udziału w żywych obrzędach na dochód *Przytuliska*, więc zdemoralizo-

wał go mógł tylko Darwin z Haecklem i innymi apostołami ciemności. Nic nie znaczy zarzut, że te wpływy, które od dzieciństwa działają u nas na tworzenie się charakterów i co najmniej przez lat kilkanaście je hartują, jako wcześniejsze i długotrwałe bardziej są odpowiedzialne za późniejsze zbrocenia, niż przeczytana w dojrzałości i krótko działająca książka; szatan bowiem zdolny jest w ciągu minuty zniszczyć pracę wieku tohnień anielskich. Mając przed oczyma taką wskazówkę doświadczenia, nie powinniśmy wątpić, że nasz umysłowy żołądek wymaga pokarmów łatwo strawnych a nadewszystko takich, do których się już przyzwyczaił. Dbałość o własne duchowe zdrowie nie przeszkadza nam wcale uznawać *de jure*, pożytku karmienia się tem, co nam szkodzi, ale innym narodom bardzo dobrze robi. Jak nie przeczymy, że jaskółcze gniazda mogą smakować Chińczykom a strychninowe jabłuszka Buszmanom, tak nie przeczymy (rozumie się w przystępie najwyższej tolerancji), że Darwin'y żywią Anglików, Renany — Francuzów, a Haeckle — Niemców. Nam jednakże dzieła tych reformatorów tylko zaszkodzić mogą, podobnie jak befsztykiostrygi zaszkodziłyby wielbłodom.

W takim stanie rzeczy nie wypada nam wcale tysiąc razy zawiedzionymi próbami naruszać swego zdrowia, lecz starannie zbadać istotę naszej choroby i odpowiednio do niej przepisać artykuły umysłowego odżywiania się. Ze źródła właśnie tej potrzeby wypłynęła wiekopomna w naszym cywilizacyjnym rozwoju teoria społecznej użyteczności, która dziś kieruje naszym życiem i która w przyszłości obiecuje nam niepoliczalne zyski. Trzymając się bowiem tej teorii, dojdziemy niewątpliwie kiedyś do takiego stanu, że za lat co najmniej dwieście będziemy bez żadnego niebezpieczeństwa wprowadzać do swego organizmu te duchowe pierwiastki, które dziś trawia się w organizmie innych narodów. Ale przedewszystkiem poznajmy w gotowym już zastosowaniu różne strony samej zasady.

Społeczna użyteczność polega na podtrzymaniu tych form i stosunków życia do jutra, w których naród przetrwał aż po dzisiaj. Jest ona wynikiem tej niezaprzeczonej prawdy, że lepsze nawet złe, ale znane, niż nawet dobre, ale nieznanne; że nadto pomiędzy jedną grupą społeczną a drugą nie zachodzi żadne duchowe pokrewieństwo, że

więc co dobre dla jednej, nie może być równie dobrem dla drugiej. Zgodnie z tą prawdą, jeżeli ktoś przemawiać zacznie o ukształceniu naszego ludu, my w imię społecznej użyteczności ostrzedz go musimy, że ludowi tam jest oświata potrzebna, gdzie on przyjmuje udział w sprawach publicznych. Jeżeli zaś znowu ktoś podniesie myśl rozbudzenia w chłopskim tłumie poczucia obywatelskich obowiązków i powołania go do udziału w zarządzie gminą, winniśmy mu przypomnieć, że chłopstwo nasze nie posiada jeszcze dla takiej roli należytego ukształcenia. Z tego wynika wyraźne przykazanie społecznej użyteczności, że lud nasz pozostawić należy w dotychczasowym stanie. Podobnie rzecz się ma i z warstwą bezpośrednio po nad nim leżącą. Rzemieślników naszych nie możemy zachęcać do zakładania spółek, kas i towarzystw dla tego, że idea stowarzyszenia się jest dla nich, jako dla nierozwiniętych, całkiem nie zrozumiała. Rozwijając zaś ich umysł niepodobna dla tego, że zaczerpnąwszy przypadkiem niebezpiecznych pojęć w jakiejś zdrożnej książce, rzucać się w wir socjalizmu i utracą pobożność, która dziś jest głównym podkładem ich moralności. Toż samo wreszcie powtarza się i w odniesieniu do tak zwanej inteligencji. Jeżeli naszych synów i córki wcześniej zaczniemy obznajmiać z niepodległymi twierdzeniami nauki, wychowamy umysły bezbożne i rewolucyjne; jeżeli zaś twierdzenia te przedstawimy im później, staną się one w nieprzygotowanych głowach szkodliwym fermentem. I tak źle i tak niedobrze, najlepiej więc ze względu na społeczną użyteczność nie wdawać się w żadne umysłowe reformy. Charakterystyczną cechą nowoczesnej wiedzy i nowoczesnego życia jest nieprawomyślność i nieprawowierność. Naturalnie cecha ta odbiła się i na duchowym usposobieniu naszego społeczeństwa, gdybyśmy po jego organizmie naukowe prawdy rozprowadzili. Tymczasem rezultat taki byłby dla nas podwójnie niepożądanym. Tradycyjna prawowierność jest nam potrzebna zarówno w przekonaniu tych, którzy ją uważają za podstawę wiedzy, jak i tych, którzy w niej widzą środek politycznie konserwacyjny. Weźmy za przykład nieomylną papieża. Ludzie bogobojni powiedzą, że dogmat nieomylności jest artykułem wiary, która stoi po nad rozumem i jest jego prawem, że więc wątpić o jego słuszności nie można.

tych wszystkich 5,055 hipotecznie ponumerowanych domów miasta Warszawy (z wyłączeniem Powązek). To będziemy dopiero swobodni! Bo chociażby nawet jakimś mężowi szepnięto, że jego żona niebezpiecznie się bawi na ulicy Karolkowej pod № 3071, to i tak on jej na Karolkowej ulicy może przez całą noc nie znaleźć, gdyż nie będzie wiedział, czy ją ma szukać pod № 3071 gołym, czy z literą b, c, d, e, f, lub m, na pierwszym czy na drugim pięttrze — a przecież (spodziewamy się tego po Komitecie zabaw) „stróż nie wskaże.“

*Sto figur mazura* — dzieło tak ważne, że się o niem odezwała — aż — o nieba! — *Gazeta Warszawska*. Co to za szczęśliwy autor ten pan Mestenhauer! Nie zarty. Mógłbyś czytelniku zmienić teorię ruchów planetarnych, policzyć wszystkie ślędzie w morzach, zbadać całą historię człowieka na ziemi i z pewnością nie zasłużyłbyś na wzmiankę *Gazety Warszawskiej*. Tymczasem *Sto figur mazura* wydarło z piersi staruszki gorące słowa uznania. Staruszka to — prawda, ale nic godnego szerokiej uwagi nie minie. Nie wie ona np. jakie u nas wychodzą książki, ale wie doskonale, gdzie mieszka i jak się nazywa „najstarsza u nas... panna.“ To się nazywa chodzić *koto* interesu kraju!

*Tygodnik Powszechny* przeszedł znowu (nawet najstarsza u nas panna nie pamięta, który raz z rzędu) w inne ręce. Szczęśliwym posiadaczem tego dziennikarskiego Telema-ka został p. Orgelbrand, który ma go przebrać w nową sukienkę. Módlmy się, ażeby go w tem przebraniu nie poznano. Bo nie tak to łatwo, jak się zdaje, zmienić druk, papier, kolej i przełamanie artykułów, zmienić naturę pisma. A zmienić ją trzeba, bo chociaż *Tygodnik Powszechny* był bardzo pobożnym i stawał w obronie *Kępczycanek*, jednakże widać się nie podobał, skoro go sprzedano.

„Zbrodnia — straszna, okropna zbrodnia“ — krzyczą za *Gazetą Polską* czule pisma nasze. Cóż się stało? Oto w Mławie pewien urzędnik biura naczelnika powiatu, nieszczęśliwy ojciec otrul napróżd swoje dzieci a potem sam się zabił. Jest to objaw charakterystyczny, że nasi dziennikarscy *chrześcijanie*, trąbiąc o tym wypadku, zapominają zupełnie o nieszczęściu, które trzy ofiary pochłonęło, a pamiętają tylko o „strasznej, okropnej, niesłychanej zbrodni“. A jednakże nie ulega wątpliwości, że gdyby zrozpaczony ojciec odezwał się był do obecnych swych sędziów o ratunek w „finansowych kłopotach“, nie postaraliby się go z nich wydobyć.

Wniosła to moralność: rabuś, który morduje dla łupu, i ojciec, który zabija siebie i dzieci z rozpacz — są zarówno zbrodniarzami!

Szkoda, że „*Stopniowa droga do książki*, czyli ułatwiony sposób nauki czytania, pisanie i rysunku“ p. W. Trybalskiego (Warszawa 1878) nie odpowiada swoją pedagogiczną wartością widocznym staraniom, jakie autor w opracowanie jej włożył. Pomijając bowiem często błędny wykład lingwistyczny, gorszem jest to, że p. W. w wybranych do czytania lub pisanie dla dziecka zdaniach ciągle zapomina o kardynalnych warunkach początkowej edukacji. Pierwszym z takich warunków jest konieczność przemawiania do dziecka pojęciami dla niego zrozumiałymi. Tymczasem zdanie np. „Anglia zawarła traktat handlowy z Francją“ mieści pojęcia dla kilkoletniego umysłu zupełnie ciemne. Powtóre zdania takie winny być zajmujące, czem wszystkie wspomniane przez autora czynności panny Gertrudy lub Cecylii bynajmniej się nie odznaczają. W końcu p. W. nie kontroluje należyte logicznego znaczenia podsumowanych dziecku zdań i ich na nie wpływu. Czy jest, pytamy, racjonalnem wszczepiać w młodociany umysł zasadę: „ty tak, Pan Bóg inaczej?“ Zasad takich, które zresztą dla człowieka



Inni przyznają, że wprawdzie papież o tyle jest nieomylnym, o ile ksiądz Golan lub asesor Prokuratury, ale ponieważ ten jego przywilej należy do pewników religii katolickiej, religia katolicka zaś należy do składników naszego plemiennego charakteru, opozycya więc przeciw nieomylności jest krokiem, przeciwnym społecznej użyteczności. Na wzór tego przykładu łatwo obliczyć wartość innych pokrewnych faktów. Gdy przekonany tem rozumowaniem czytelniku zobaczysz kiedy palący się dom a przy nim ludzi, którzy zamiast lać na ogień wodę, określają go święconą kredą, pamiętaj, że wtedy wołać o sikałki nie wypada; obrazi to bowiem nietylko pobożnych, ale i tych wolnomyślnych, którzy w używaniu święconej kredy przy pożarach widzą jeden ze środków, konserwujących nasze plemienne właściwości.

Wiadomo, że pomiędzy 365 dniami każdego roku nie ma w Warszawie dnia, w którymby nie przypadało jakieś święto lub uroczysta wigilia; ci więc, którzy chcą być rzeczywiście pobożnymi, muszą przez cały rok siedzieć w kościele. Ponieważ to nieprzerwane świętowanie dla dobrobytu uboższych klas jest warunkiem materialnie zabójczym, więc odzywały się niejednokrotnie przeciw niemu protesty. Jeśli wszakże zważymy, że codzienne świętowanie podsyca religijne uczucia narodu, które znowu są ważnym środkiem, konserwującym jego swojską naturę, to przyznamy, że opozycya w tym kierunku byłaby wykroczeniem przeciw kodeksowi społecznej użyteczności. Takie wykroczenie byłoby namawianie chłopca, ażeby ze swoim synem postępował jak z koniem, to jest, żeby, gdy mu zachoruje, posłał po doktora a nie po księdza. Ów chłop, biegnąc w wigilię oświecić kilka mil do swego syna, ażeby pierwszy wszedł do jego chałupy i tym sposobem zapewnił mu narodzenie się chłopca, zbyt lekceważył sobie fizyologię, która utrzymuje, że urodzenie chłopca lub dziewczynki nie zależy od tego, czy do domu w Wigilię wejdzie pierwszy mężczyzna, czy też kobieta; ale ponieważ przechowywanie zwyczajów sprzyja przechowywaniu narodowości, przeto użyteczność społeczna nakazuje, ażeby najgrubszego przesądu nie niszczyć. Jak donosiliśmy w przeszłym numerze, grono lubelskich lekarzy postanowiło zająć się urządzeniem meteorologicznych stacji, które za gra-

nią, zbierając wskazówki co do zachowania się pogody i stawiając prawdopodobne wróżby, oddają, zwłaszcza przy polnych zbiorach, wielkie usługi rolnikom. Nie zapominajmy jednak, że takie stacje usuną potrzebę śpiewania suplikacyi o deszcz i pogodę, co przecież było dotąd właściwością naszego charakteru, a tem samem okaza się przeciwne zasadzie społecznej użyteczności.

Jak widzimy zasada ta, zastosowana w sposób wyżej przykładami wskazany, jest jedynie zdolną zakonserwować nasze cechy plemienne i wzmocnić podstawę naszego istnienia. Ma ona tę wyższość nad innymi, że nadużyć się nie pozwala. Ponieważ nikt z jej wyznawców chorym nie jest, tylko w narodzie słabość dostrzega, więc może być jego lekarzem. Gdybyśmy kolejno pytali się wszystkich członków tego narodu, czy są chorzy i czy potrzebują dla swego zdrowia tradycyjnych środków, każdy odpowiedziałby nam: ja chory nie jestem, ale *my* jesteśmy chorzy i potrzebujemy strzedz się wszelkich nowalij. Ja czytać mogę wszystko, ale ogół... chory ogół... Tu miejsce dla wyrażenia ciekawości, czy też przyjdzie kiedy czas, w którym zasada społecznej użyteczności nie będzie podtrzymywana tego tylko, co jest, i w którym wszyscy u nas, zdrowi pojedynczo, nie będą chorzy razem? Podobno przyjdzie, miano wiecie „wtedy, gdy się zmienią warunki”. Jak — niewiadomo. Wiadomo przecież, że charakterystycznym znamię owego czasu będzie nasze zupełne zdrowie, które objawi się tem, że z dwu dziś nami rządzących zasad: społecznej użyteczności i naszości — pierwsza tylko utrzyma się przy władzy. To znaczy, że jak dziś przyjmujemy to jedynie, co jest dla naszego społeczeństwa korzystnym, a korzystnym jest to jedynie, co do niego już należy, tak później za pozytywne dla niego uważać będziemy wszystko, co gdziekolwiek i jakkolwiek pożytecznym się okazało. Weźmy dla porozumienia się jakąkolwiek prawdę.

Inne narody, które pobożnością wcale nam nie dorównują, pozwoliły się przekonać geologii, że ziemia liczy daleko więcej niż 6,000 lat i że jej twory powstawały bardzo powoli i zmieniały się ustawicznie. Prawda ta, która w owym czasie, „kiedy warunki się zmienią”, może nam być rzeczywiście na coś przydatną, w obecnym naszym stanie stałaby się bardzo szkodliwą, osłabi-

łaby bowiem wiarę, która nam dziś największe oddaje usługi. Gdyby Kopernik teraz między nami się urodził i wystąpił ze swoją teorią obrotu ziemi, poprosilibyśmy go, ażeby się z nią wstrzymał aż do czasu, w którym „warunki się zmienią”, gdyż w tej chwili nie jesteśmy odpowiednio przygotowani. Co najwyżej możemy przyjąć telefon lub inne praktyczne wynalazki, które z kodeksem naszego utylitaryzmu w wyraźnej sprzeczności nie stoją. Bo dla orientowania się w tym kodeksie zapamiętać należy jedną ogólną regułę: to naszemu społeczeństwu zawsze szkodzi, czemu w tradycyi coś się sprzeciwia, a taka nowość przyjęta być może, dla której w przeszłości nie analogicznego a różnego nie istniało. Tak np. ponieważ mieliśmy sierp, więc żniwiarka z trudnością się u nas rozpowszechnia, ale ponieważ nie mieliśmy żadnych trąb do przesyłania depesz, więc telefon przyjęliśmy bez urazy.

Z tego wszystkiego wynika, że oskarżenia nas o zastój, nienawiść dla postępu i przeniecierstwo względem przeszłego życia, które zawsze starało się za ruchem ogólnej cywilizacji dążyć, jest najzupełniej niesłusznym. Nie zapieramy się tego, że przesyłamy ukłony i pozdrowienia we Francyi klerikalnemu monarchizmowi, w Niemczech wstecznikom, we Włoszech papistom, w Anglii torysom, że wszędzie oklaskujemy żywy martwe i ciemne a wygwizdujemy żywe i oświecone, ale przecież czynimy to z uczciwych pobudek naszej „społecznej użyteczności”. Chociażby się to komuś dziwnem wydawać mogło, my jesteśmy przekonani, że najlepszymi naszymi przyjaciółmi, ludźmi, którzy tylko o nas myślą, są: Pius IX, hrabia Chambord, Broglie, Rouher, lord Beaconsfield, Don Carlos i t. p. Europa powinna wiedzieć, że po cichu, teoretycznie, nie jesteśmy ani za władzą świecką papieża, ani za francuzkim imperyalizmem; stojemy tylko po ich stronie z potrzeby, ze względów „społecznej użyteczności”.

Ponieważ na tę samą zasadę powoływać się zwykli i wyznawcy bezwarunkowego postępu, więc, jak wspomnieliśmy, stróż społecznych potrzeb, lekarze społecznych chorób zwyciężają tym argumentem, że lepsze to, co jest, niż to, co ma być. Zdarza się jednak, że i oni uczują od czasu do czasu potrzebę wprowadzenia do narodu jakiejś innowacyi—telefonu, żniwiarki lub pe-

dojrzałego mogą wyrażać czasem myśl nieszkodliwą a które dziecku nie odpowiadają, jest w książce p. W.—niestety—bardzo dużo. Wobec tych niedostatków, inne, ujawnione w samem *stopniowaniu* i niezmiernie nużących do niego objaśnieniach, maleją.

We czwartek dnia 24-go odbył się koncert pana Zarzyckiego, fortepianisty, który zaimponował wspaniałem odegraniem wariacji symfonicznych Schumana i etiud Liszta, Szopena, Henselta i Rubinsteina. Fuga Bacha i Menuet Mozarta pojęte były zanadto w duchu techniki fortepianowej, nie zaś subtelności i przejrystości starych utworów. Pani Uszyńska, amatorka, jedyna u nas egzekuto:ka pieśni, odśpiewała kompozycje pana Zarzyckiego z wdziękiem prostoty i z wniknięciem w ich charakter. *Wielkiemu Polonozowi* pana Zarzyckiego brakuje trochę szerokości, właściwej polskiemu śpiewowi, której wyrazista energia motywów i jednostajność rytmu wyłączać nie powinny.

Co to znaczy? Żart, czy pomyłka? Pan Władysław Żeleński opuścił Konserwatorium, aby dawać lekcje kompozycji prywatnie u siebie, nie zrywając z nauczycielstwem. Pan Żeleński ofiarował na rzecz Osad Rolnych całą swoją trzymiesięcz-

ną pensję, wynoszącą 25 rs., zatem nie chciał jej przyjąć. Cóż więc za wniosek wyprowadzić ztąd należy: oto że p. Ż. nie mógł się porozumieć z instytucją i opuścił ją, gdyż nie można przypuścić, aby instytucya wychowawcza porzuciła sama najznakomitszego kompozytora w kraju. Jeżeli tak, to postąpienie pana Ż. jest bardzo niewłaściwe. Jakto, nauczyciel porzuca uczniów w chwili, kiedy ich talent, tak pięknie rozwijany, kiełkuje wśród ogólnego uznania w salonach Resursy Obywatelskiej; kiedy cała inteligencya muzyczna czuwać powinna nad artystyczną stroną i zyskami niedzielnych pikników, z taką wytrwałością prowadzonych w duchu szkoły i sztuki; kiedy cały światek (i półświatek) warszawski z współczuciem niesie dzieciom grosze za skarby ich talentów, zawczasie zmarnowanych w plugu życia?... Nauczyciel powinien iść za uczniami. Nie mogą się uczyć, nie mogą chodzić do Konserwatorium, nie mają czasu słuchać lekcji? dalejże za nimi do Resursy panie Żeleński! Trzeba zrzucić tę nauczyielskiej powagi, pozbyć się myśli wychowywania dzieci w duchu nauki i dopomagać im do kroczenia po drodze pochylej, która jest tem lepsza od wzniesionej, iż łatwiej prowadzi do celu, a nadto kusi zawsze cielecia, jeśli tylko ktoś przed nimi będzie niósł garść trawy a ktoś inny z tyłu je do-

brze popędzał. Opozycya więc jednego człowieka, choćby takiej powagi jak pana Żeleńskiego, na nic tu się nie przyda. Lepiejby zatem pozostać z nimi i żyć w spokoju, choć działać nie można. Może stanowisko kompozytora na to nie pozwala, może wygórowana ambicja artysty obraża się lekkością dyrekcyi, może zresztą wynagrodzenie zbyt małe na tak ciężkie czasy... Ale nie należy brać rzeczy tak bardzo na seryo i drażliwie. Zapewnie, 25 rs. na kwartał to mało. Stróż bierze przeszło 30, ale też za to musi w nocy drzwi otwierać, rano buty czyścić, a w dzień rynsztoki zmiatać: przyznać więc trzeba, że praca nauczyciela kompozytora nie jest tak uciążliwą. Zresztą, są to tylko nasze domysły na podstawie dwóch ogłoszeń pana Żeleńskiego; czekajmy, aż się rzecz wyjaśni: może też ktoś się odezwie i zapozna nas z działalnością pedagogiczną jedynej instytucji muzycznej, a tem samem ze stanowiskiem, jakie ona zajmuje wobec sztuki, pozbywając się jej kapłanów.

Zacieśniona sfera pracy i działalności kobiecej powoli się stopniowo rozszerza, a na różnych polach skromna i zacna inicjatywa zbiera już pierwsze owoce praktycznej działalności. W dziedzinie rękodzielniczej szewstwo zyskało kilka pracowniczek, które na tej drodze potrafiły dzięki sumiennej pro-



dagogicznej metody Froebela. Otóż pytanie, jakim sposobem ściśle dowieść, że innowacja taka będzie społecznie użyteczna? Wyznajmy szczerze — sposobu takiego nie ma i to jest jedyny słaby punkt zasady, o której mówimy. Dowodów rozumowych użyć niepodobna dla tego, że niemi również posługują się i zwolennicy postępu; stawiać za przykład inne społeczeństwa, które pewną reformę z korzyścią u siebie zaprowadziły, jeszcze niebezpieczniej, gdyż radykałiści głównie takimi przykładami walczą. Jeżeli zaczniemy przekonywać, że telefon odda nam wielkie usługi i że w Ameryce bardzo szczęśliwie dał się zastosować, to upoważnimy zaraz „stronników wywrotu” do przekonywania, że i obowiązkowa oświata ludu także przysługi nam zapewnia i że w Niemczech wydała nieocenione owoce. Z obawy właśnie przed taką możliwością, teoria „społecznej użyteczności” musi się powstrzymywać od apologii najużyteczniejszych reform; brak zaś jakiegokolwiek sprawdzianu w oznaczeniu tej użyteczności tłómaczy nam, dla czego lekarze naszego społeczeństwa dotąd nas nie wykurowali i dla czego dość znaczną wzbudzili przeciw swej metodzie opozycję.

Co do nas osobiście, jesteśmy zwolennikami tej metody, ale ponieważ czytelnicy nasi nie nadesłali nam świadectw słabości, więc musimy uważać ich za zdrowych i nie dawać na pokarm ani pobożnych legumin z papieskimi konfiturami, ani cielęcych kotletów, smażonych na klerykałnym oleju, ani potrawki z bonapartyzmu, ani bulionu z krajowej zwierzyny. Niech jedzą, kiedy chcą, niestrawne artykuły postępu Anglii, Francji, Niemiec, Włoch i swojego kraju. Być może, iż pomiędzy temi artykułami coś i dla „społecznej użyteczności” się znajdzie.

## KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

(Ciąg dalszy).

Dzieje pierwszych dwunastu lat panowania Stanisława Augusta w niewielu zamkniętych słowach. Wyniesiony niespodzianie na tron, dzięki łasce mocarstw ościennych, ten sio-

strzeniec Czartoryskich postanowił zrazu działać o własnej mocy: pragnął on, jak się zdaje, krzewiąc światło i narzucając požądane reformy, iść umiejętnie drogą wskazaną przez Machiavellego: rząd oligarchiczniejszymy zamieniać powoli na osobisty, poniżać wielkich, a małuczki dźwigać; zresztą chciał być Tytusem, *ojcem narodu*. Ale, niestety, zamiar o wiele przerastał siły. — Ustanowienie w r. 1764 komór celnych, komisji ograniczających władzę ministrów a w szczególności hetmanów, projekt powiększenia podatków i wojska, wreszcie zamach na *liberum veto* — wywołały naturalny, choć słaby stosunkowo, opór ze strony możnowładztwa, a w części i potencyj sąsiedzkich. Niebawem występuje na jaśnią zbrojna w opiekę cesarzewej Katarzyny i Fryderyka W. sprawa dysydentów, domagających się udziału w rządzie. Wybujałe pierwiastki ortodoksyi, dumy oligarchów i szlacheckiego zaślepienia — krzyczą głośno: nie pozwalam... To też na sejmie 1766 r. miała miejsce bolesna dla Stanisława Augusta granamiętności i planów. Uwydatniło się tam dziwnie zakłócone skrzyżowanie dążeń królewskich, sąsiedzkich i obywatelskich. Jednogłośny zarzut absolutyzmu, a szczególnie mowa biskupa Krasieńskiego tak była dobitną, że król, wysłuchawszy jej — „zemdlał na tronie”.

Skończył się więc po dwu latach miodowy rządów Stanisławowski miesiąc, którego największą ozdobą był korpus kadetów. — Gdy w rok potem nastąpiła zaimprovizowana przez księdza referendarza (niebawem prymasa) Podolskiego konfederacja radomska, Stanisław August o swej bezsilności wymowniej się jeszcze przekonał; skonfederowani bowiem w liczbie kilkudziesięciu tysięcy kojarzyli się głównie pod hasłem nienawiści dla króla i poróżnionych już z nim Czartoryskich. Rok 1768 dał pod gwarancją Imperatorowej rozległe prawa dysydentom, bo przyznał im możność sprawowania wszelkich urzędów z wyjątkiem dostojęstwa królewskiego; *liberum veto* na sejmach wolnych ograniczył do pytań treści czysto politycznej; ścięsnął wreszcie władzę pana nad chłopem.

Za ścianami tymczasem izby sejmowej zawrzała burza, która dobro ogółu i narodowi niosła hucznie na ołtarz magnackiego samolubstwa, szlacheckiej swobody i ogłupiającej wiary. Pobudki religijne nadawały całej tej

chryi krwawej anachroniczną cechę krucjaty. I nie dziwimy się bynajmniej Helweoyuszowi, gdy pisząc podówczas słynne swe dzieło *De l'homme*, tak w niem odzywa się o Polsce: „Qui dans ce moment même... ravage la Pologne? Le fanatisme... Les grands n'eussent point armé la nation, et l'impuissance de leur orgueil eût maintenu la paix dans la patrie. *Le papisme est l'auteur caché des malheurs de la Pologne*”<sup>1)</sup>.

Wprawdzie nie bez zastrzeżenia podzielałmy niewiarę autora w ówczesną burzycielską potęgę polskiego możnowładztwa; przypuszczamy nawet dość liczne w konfederacji barskiej sprężyny; ale podkreślone zdanie ma w naszych oczach wartość pewnika. — Jakże się wobec tej zawieruchy zachowuje Stanisław August? — Z początku działa on naturalnie w ścisłym związku z Rosją, którą na dworze warszawskim przedstawia Repnin. Gdy misya Mokronowskiego, wyprawionego do barzan z żądaniem układów, nie udała się, łowczy Branicki występuje już nie w roli pośrednika, lecz naczelnego wodza.

Przyszły hetman po kilkotygodniowych operacjach wojennych nad Dniestrem, łącznie z generałami rosyjskimi — Apraksynem i Weismanem, oblega 20 Czerwca Bar i bierze go szturmem. Ale nie mamy zamiaru opowiadać dziejów tej burzy, w której zaraz z początku wzięły udział i niższe żywyli, uwydatnione w buncie hajdamackim. Zaznaczamy tylko — na podstawie ogłoszonej przez D-ra Gumpłowicza *Korespondencji St. Aug. z Branickim w r. 1768* (Kraków 1872) — że wygłoszone tu myśli królewskie (w listach z Czerwca, Lipca, Sierpnia i września 68 r.) są nacechowane jakąś ohwiejną dbałością, zarówno o zgodę z Repninem, jak o całość skonfederowanego ludu, podczas gdy Branicki jest posłusznym swemu panu i umiarkowanym służką. Obaj pełną garścią czerpią złoto z kieszeni posła rosyjskiego. Taki stan rzeczy trwa mniej więcej do Października, od której to pory uwydatniają się w listach króla objawy żywszej, choć tajonej skłonności do konfederatów. Znać, że inne go ozywają dążenia, że innym już ulega wpływom. Jakóż pod d. 8 Listopada 68 r. pisze do Br.: „XX. Czartoryscy zbliżenia do mnie szukali i jest to poczęści, ale W Pan tego nie głos, jak przyjedziesz, sam uznasz, że tak lepiej”.

<sup>1)</sup> Wydanie londyńskie, rozdział XXI, str. 342.

dukcji wywalczyć sobie niezależne stanowisko.

Mamy już dwa kobiece zakłady galanterijne oraz introligatorskie, które rozwijają się w skromnym zakresie, ale mają sporą ilość zamówień. W dziedzinie produkcji, mającej bezpośredni związek ze sztuką, powstała niedawno kobieca pracownia drzeworytnicza, nie mówiąc już o istniejącej od lat kilku szkole malarstwa i rysunku. Wkrótce ma powstać w naszym mieście nowa czytelnia dla kobiet i uorganizowana przez kobiety. Jeden z artystów, który pędził swój i kredkę pastelową poświęcał dotąd głównie odtwarzaniu powabów niewieściej urody, obecnie otwiera w swej pracowni kursa zbiorowe dla uczennic, pragnących systematycznie kształcić się w sztuce barw i światła. Zaznaczając z zadowoleniem ten nowy objaw prywatnej inicjatywy, mający na celu podniesienie samodzielności kobiecej, pragnęlibyśmy, aby na tem polu kobiety mogły zyskać pomoc od instytucyj społecznych, jak to się dzieje np. w Petersburskiej Akademii, która w pewnym zakresie dopuszcza już uczennice do studyów szkolnych. Nie wdając się jednak obecnie w życzenia i postulaty, zaznaczamy nowy fakt społecznego usamowolnienia kobiety, który znowu otwiera inne pole w innym kierunku dając zdolności kobiecym zyskowne i wy-

jątkowe stanowisko. Dyrekcyja Teatrów Warszawskich zamianowała na posadę po zmarłym niedawno kasyerze Teatru Wielkiego pozostałą po nim wdowę, tak, jak to się przed paroma laty stało w kasie Teatru Romantyki. Odtąd więc kobiety wyłącznie królować będą w owych okienkach, które są przedmiotem tylu westchnień i oczekiwań dla... tłoczących się widzów, gdy na afiszu pojawi się jaka ponętna sceniczna nowalia. Wszyscy amatorowie widowisk scenicznych wiedzą dobrze o tem, że wtedy pozycya kasyerki, choćby nawet pochodziła z płci słabej, jest jednak mocną, bardzo mocną, tak że dumni z wielu względów mężowie starają się pozyskać ich względy i wyrobić sobie w tej mierze požądane protekcycjki. A w chwili, gdy stugłowy tłum żądnych wzruszeń scenicznych słuchaczy przypuszcza szturm wielki do owego okienka, gdy zewsząd sypią się natrętne żądania, pozycya owa wymaga niemałej powagi i energii do powstrzymania tych zapędów. Wiemy o tem z doświadczenia, że na podobnym stanowisku kobieta niekoniecznie bywa lekkliwą i potulną osobą i umie w sposób wcale energiczny podtrzymać powagę urzędu. Z tych małych próbek można mieć przekonanie, że znana sprężystość wielu naszych magnifik w sprawach domowych nie stępiałaby na szerszem polu działania,

a wrodzony spryt i zręczność takżeby się przydać mogły w niejednej potrzebie.

Na naszym scenicznym horyzoncie panuje obecnie zaćmienie. Dwie gwiazdy, które zwracają ku sobie oczy licznych wielbicieli, przez czas pewien poskapiły nam swego światła, zgnębione gorączką i katarzem, jak głoszą wieści brukowe. Na nieszczęście jakaś epidemia kataralno-gardłana napadła także wielu innych pracowników ze świata kulis i kinkietów, a wskutek tego reżyserya wpadła podobno w wielki skwers, malujący się zresztą na afiszach. Kłopotliwe to położenie świadczy, że personel nasz kobiecy, jakkolwiek posiada siły znakomite, potrzebuje jednak sztucznego wzmocnienia, potrzebuje zwłaszcza dobrych aktorek na role drugorzędne, gdyż tym tylko sposobem będzie można otrzymać bardziej harmonijną całość wykonania.



Ze współczesnej niemal korespondencji dowiadujemy się przytem, iż „Repin zbliżenie to aprobuję”, a 15 Listopada król zaleca (także niby za zgodą Repnina), aby „buntownikami nie nazywać lepiej barskich przed turkami”. Listy wogóle królewskie z 68 r., jak pierwsze, tak i ostatnie—zdradzają silnie, obok braku wszelkiego planu, bierność i dwulicowość charakteru. Od zarzutu hipokryzyi nie jest wolnym i Branicki, mianowicie, gdy potrzebując ciągle zasiłków pieniężnych i traktując przez siostrę o Luboml, przysięga ustawicznie na bezinteresowną wierność swemu korespondentowi; w każdym jednak razie, jest on w 68 r. i bardziej szczerym i stalszym w zasadach politykiem. Oto, co pisze przysły hetman pod dniem 29 Października, spostrzegłszy zbyt ruchome w zamysłach monarszych wahadło: „Jeden jest przyjaciel W. K. Mości, to jest Rossya; tej się tylko W. K. Mość powinien trzymać i to robić, czego żądać będzie, a będąc złączony z nią i ugruntowawszy zupełne zaufanie, możesz W. K. Mość bardzo wiele dla tego niewdzięcznego zrobić narodu”. Król tymczasem, zalecając panu łowczemu unikać spółki z wojskami rosyjskimi, a zdala się trzymać od konfederatów i Turków (co było po prostu parodią zbrojnej neutralności), takie mu w cyfrowanym liście posyła rady: „Dobrze to będzie i dla W. Pana i dla mnie, kiedy takim stylem będziesz pisywał, który ukazuje, żeś sam arcydobry Polak, ale troskliwym o to, żebym ja sobie zbyt patryotyzmem nie zaszkodził”. Po odebraniu takiego dictum opuścił ręce łowczy koronny, nie kwapiąc się jednak ze zrywaniem dawnych stosunków. W następnych listach rad już politycznych panu swemu nie daje; ale ze złe tajoną zawiścią podejrzewa sterowników warszawskich o związek z konfederatami i wśród łatwowykładnych narzekania chępli się co chwila panującą w obozie karnością.— Z dalszych losów tej sprawy, która się co raz bardziej rozszerza i wikła, zanotuję tu tylko epilogowy, a poprzedzony szumną formą detronizacji, fakt porwania króla z 3 na 4 Listopada 1771 r. Wpłynął on zarówno na stosunek do Polski zagranicznych dworów, jak i na ustalenie przekonań politycznych Stanisława Augusta. Była to dla niego chwila przełomu. Na krótki czas przed tem prymas Podoski, biskup Massalski i inni osnuwają pod boki króla pomysł rekonfederacji w duchu saskim, której ostateczne konce schodzą się mniej więcej z odsłonięniemi już celami zaciekłych barzan, z tą tylko różnicą, że konfederacja ta szuka protekcyi nie w Wiedniu, Stambule i Paryżu, lecz w Petersburgu. Śród takich wewnętrznych i zewnętrznych kolizyj nastąpiło wreszcie to, co nastąpić musiało. „Gdy dom goreje (powiada w jednej z późniejszych mów swoich Stanisław August), gospodarz ze snu twardego ledwie oocunony ratuje się, ba, często ludzie cudzy dopiero wyrwywają go z ognia... Ktokolwiek otacza dom gorejący, pod pozorem ratunku, przymusza zwykle gospodarza słuchać rozkazów jego”. Tak się też stało i z nami. „Obejrzały się sąsiedzkie mocarstwa (mówi gdzieś indziej ten sam rzecznik) na tę zarosł spustoszałą i rzekły: burzliwi tych miejsc mieszkańcy są dla nas często obawian i wojen nakoniec przyczyną; nas ustawicznie wzywają na swego króla, który im nic złego nie zrobił; zatem i my im wierzyć racyi nie mamy...” Czyż potrzebujemy wykładać, jak się to stało?

Po dokonany czynnie, gdy już *de facto* około 4,500 mil kw. wraz z 5 blisko milionami mieszkańców od całości politycznej odpadło, zawiązaną została 16 Kwietnia 73 roku w pałacu i przy współudziale księdza kanclerza Młodziejowskiego pamiętna konfederacja pod laską kuchmistrza Ponińskiego i Michała Radziwiłła, litewskiego miecznika. Zadanie tej konfederacji było, o ile

proste, o tyle i nieuniknione. Stanisław August Poniatowski stosunek swój do całej tej formalnej, urzędowej sprawy publicznie w trzy lata później w następny określa sposob: „Ledwiebym sobie nie pozwolił przyrównać mój postępek w tamtej okoliczności do owego cesarza Karola V, który po przegranej w Afryce, już nie widząc sposobu utrzymania wojska swego na tych fatalnych brzegach bez nieuchronnej i całkowitej zguby, kazał żołnierstwu swemu rejterować się tandem na flotę, ale sam swą osobą ostatni dopiero wsiadł na okręt. Gdy za głosów liczeniem większa liczba osób sejmujących in an. 1773 odemnie się odpisała, wtedy dopiero przeciw się przestałem ustanowieniu delegacji i nieodzownej jej mocy”. Jest wprawdzie w tych słowach spora doza teatralnej przesady, jest jednak w gruncie i prawda; bo król wraz z gorętszymi stronnikami w izbie poselskiej odznaczył się wtedy istotnie kunktatorskim oporem. Główni na tym dwuletnim sejmie delegacyjnym działacze, jak: ksiądz kanclerz Młodziejowski, Gurowski m. n. lit., przysły prymas Ostrowski, ks. biskup Massalski, Poniński, Sułkowski, Branicki i inni — byli to ludzie wprawdzie z różnym charakterem i zdolnościami, ale zarazem zbliżeni do siebie, jako dzieci jednego ducha, jako wychowawcy sasko-francuzkich salonów i epigonowie staropolskiego możnowładztwa. Nienasycony hojną za trudy zapłatą, postanowili z własnego popędu, bez udziału ościennych mocarstw, ograbić zdrętwiałe ciało Rzeczypospolitej: powyznaczali sobie wysokie *naprody* i pensye, a korzystając z uznania kasacyjnej bulli Klemensa XIV, gotowi byli całą, ogromny po zakonie jezuitickim spadek na swą osobistą korzyść obrócić. Przeważna liczba czynnie obradujących, — z której wszelako wyłączyć należy takich, jak: ex kanclerz Zamoyski, jak orędownik ludu poseł Oraczewski i Chreptowicz, ów poniekąd autor komisji edukacyjnej, — stwierdzała niestety faktami nie bardzo pochlebne Frydryka W. zdanie: iż „Polacy są nieuczciwi w nieszczęściu i gotowi na wszystko dla zbioru pieniędzy”... Czytając ówczesne oracye Młodziejowskich i Ponińskich, których hermesowe popędy chłodzi na każdym kroku Stackelberg, nie podobna się nie zgodzić z p. J. I. Kraszewskim (*Polska w czasie trzech rozbiorów* — Poznań, 1873), iż na tej smutnej biesiadzie „poseł rosyjski najpatryotyczniej przemawiał”. Mnóstwo bądź co bądź ważnych kwestyj na sejmie tym poruszono. D. wybitniejszych jego rysów należy: uznanie kasacyi *zasłużonych* w Polsce rycerzy Lojoli; ustanowienie pierwszej w Europie komisji edukacyjnej; zwrótnie w procesach kryminalnych szlachcica z chłopem; odjęcie królowi władzy rozdawniczej; częściowy odrost potęgi hetmańskiej; a nadewszystko utworzenie Rady Nieustającej, jako radykalnego niby lekarstwa na starą niezgodę i peryodyczny egzekucyi państwowej paraliż. Z tem wszystkiem zarówno okoliczności, jak osoby i bezpośrednio finansowe następstwa tej prawodawczo-sądowniczej roboty nie mogły jej zjednać licznych u ogółu zwolenników. A choć przebrany w nowożytną sukienkę przez autora *Listopada* ówczesny pamiętnikarz B. Michałowski twierdzi, że „wszystkie (z wyjątkiem Rady Nieust.) konstytucye tego sejmu zyskały wielką u szlachty popularność”, to jednak na podstawie innych, wiarogodniejszych źródeł śmiało jego cieniem fałsz zadać możemy, jak równie zarzucić, iż się myli, przypisując temu sejmowi osłabienie władzy hetmańskiej. Było to już bowiem dzieło innego ducha i innych narad, które mimo iż zostają w genetycznym związku z poprzedniemi, różnią się jednak od nich wielce, a częstokroć i otwarty bój zawodzą.

## Osady polskie w Stanach Zjednoczonych.

przez  
LITWOSA.

(Ciąg dalszy.)

Z tego, com już powiedział, ze wzmianek o „parafiach” i towarzystwach kościelnych czytelnik może wyrobić sobie pojęcie, że wychodźstwo tutejsze jest czemś zupełnie innem niż europejskie. „Emigrantami” w zwykłym znaczeniu tego wyrazu nazywamy u nas ludzi, którzy z powodów politycznych po czasach powstania lub zaburzeń zmuszeni byli kraj opuścić. Tu w Ameryce żywił ten stanowi niezmiernie małą część i nie odgrywa żadnej roli. „Emigracya” tutejsza opuściła kraj nie dla urzeczywistnienia ideałów politycznych, ale dla chleba. Po większej części są to chłopci, pozostający w rękach księży. Dla tego pojęcie radykalności, związane z imieniem emigracyi, do tutejszej bynajmniej zastosować się nie da. Mówię oczywiście o ogóle, nie o szczegółach. Ogół ten jest arcykonserwatywnym, arcyreligijnym i zupełnie w rękach duchowieństwa. Stan taki rzeczy da się łatwo wytłomaczyć. Chłopi z natury religijni, przybywając tu bez znajomości kraju, języka, stosunków, widzą w duchownym nietylko pasterza dusz, ale swego pełnomocnika, rządcę i sędziego. Kościół jest ogniskiem, około którego się grupują nicią, wiążącą ich z krajem czemś swojskiem, własnem, czemś ochronnem. „Parafia” staje się jednostką nietylko w znaczeniu duchowem, ale i socyalnem. Oczywiście duchowni, zajmwszy raz tak przodujące stanowisko, nie chcą z niego ustąpić; przeciwnie, roszeją prawo do przewodnictwa nad tymi nawet, którzy bynajmniej nie są usposobieni ich słuchać; uważają się za jedynych *prawych* przedstawicieli interesów, nietylko dusznych, parafialnych, ale ogólnych — za naturalnych rządców narodowości. Jakoż, posiadając za sobą większość, przeprowadzają wszystko, co chcą. Intelligencya świecka — o ile idzie jej o sprawy ogólne — musi się temu wpływowi poddawać, w przeciwnym razie bowiem bywa przegłosowana. Gdyby to, co mówię, potrzebowało dowodów, mógłbym ich znaleźć dowoli. Przy poruszanej kilkakrotnie myśli powiązania jednym organizmem wszystkich przesiedleńców, gazeta Barzyńskich podała myśl wytworzenia pewnego ciała rządzącego, złożonego z dwóch izb. Izba niższa miała się składać z delegatów wybieralnych, wyższa, czyli „senat” (?) — z duchownych (!) Przypuszczam, że niejedyn z czytelników dwa razy przeczyta te słowa nim uwierzy własnym oczom. Niemniej tak jest. Dziwnym zbiegiem okoliczności na tej ziemi, najwolniejszej i najbardziej postępowej, wracają pod pewnym względem czasy średniowieczne, w których władza świecka spoczywała w rękach duchownych. Do jakiego stopnia wpływ ten opanował tu wszystko, dowodem także są i pisma tutejsze, wychodzące w języku polskim. Wszystkie one, nie wyłączając *Gazety Polskiej Chicagowskiej*, mają charakter nietylko narodowościowy, ale narodowościowo-religijny. Ponieważ nie mnie nie krępuje w wypowiedzaniu mego zdania, powiem więc otwarcie, iż wszystko nakazuje mi sądzić, że naprzykład we wspomnianej *Gazecie Dyniewicza* nuta owa religijna nie idzie wcale z serca. Jestem nawet prawie pewny, że gazeta owa wesłaby chętnie na drogi wprost przeciwnie, gdyby nie obawiała się utracić wszelkiego wpływu i większej części swych abonentów. Z pism innych jeden tylko *Kuryer Nowyorkski* stał na stanowisku ogólnem — ale też upadł. Zabiły go nietylko ustawicznie zmieniające się re-



dakcy, które po wyjeździe Horaina do San Francisco przechodziły w coraz inne, a prawdę rzekłszy, w coraz nieudolniejsze ręce, ale i brak poparcia ze strony duchownych. Co do Dyniewicza walczy on wprawdzie zaciekle z partją Barzyńskich i dotychczas utrzymuje się jeszcze, ale dzięki jedynie temu, że naprzód ma poparcie pewnej liczby księży, nieidących z rozmaitych powodów z Barzyńskimi, a powtóre, że w każdym numerze zapewnia czytelników swoich, jakoby on właśnie i on jedynie był prawdziwie nie „zmarłychwstańczo-jezuickim”, ale czysto katolickim wydawcą.

Ten to pierwiastek religijny, tak zamieszany w interesa ogólne, że żadną miarą odczepić się od nich nie daje, i wyjątkowa przewaga duchowieństwa stanowi główną cechę emigracji tutejszej. Wprawdzie duchowieństwu niepodobna odmówić pewnej zasługi; ono bowiem, skupiając rozproszonych włościan, ogniskując ich w duchowne i socyalne „parafie”, broni ich poniekąd przed wpływem niemieckim, przed rozproszeniem się zupełnym i zatonięciem bez echa w pierwiastkach obcych. Z drugiej jednak strony każdy bezstronny i poważnie patrzący na rzeczy człowiek przynajmniej, że owo pomieszanie interesów ogólnych z duchownymi może także wychodzić na szkodę pierwszych. Czasem te interesa bywają zgodne a czasem wzajem sobie obojętne lub nawet przeciwnie. W tym ostatnim razie, gdy wszystko spoczywa w rękach duchowieństwa, ogólne muszą ustępować religijnym. Gdyby powody np. miejscowo-polityczne nakazywały Polakom głosować przeciw Irlandczykom a religijne za nimi nie ulega najmniejszej wątpliwości, że duchowni skłaniliby swoich „parafian” do głosowania za Irlandczykami. Powie ktoś, że to jest wypadek niemożliwy; ale w gruncie rzeczy jest możliwy. Przypuśćmy np. wojnę St. Zjednoczonych z Anglią. Wprawdzie tu sprawy pokoju i wojny nie przechodzą głosowaniem, ale zato głosowaniem przechodzą ludzie, którzy o pokoju i wojnie stanowią.

Są jednak sprawy nietylko przypuszczalne, możliwe i pośrednie, ale bezpośrednie, w których przewaga duchowieństwa i pomieszanie zupełne żywiołu religijnego z narodowościowym nie wychodzi na korzyść tego ostatniego. Pomijam już zarzut, czyniony duchowieństwu przez wielu ludzi należących do inteligencji, że wyzyskuje lud prosty na własną korzyść. Jedni duchowni wyzyskują — i mógłbym takich wymienić, gdyby komu coś na tem zależało, — drudzy nie, ale jest inny wzgląd. Oto przewaga duchowieństwa odstręcza od brania udziału w interesach ogólnych inteligencję świecką. Trzyma się też ona, powszechnie, osobno. Doktorom, inżynierom, adwokatom i innym przedstawicielom nielicznej zresztą inteligencji trudno wbrew własnym zasadom służyć sprawom kościelnym, które przede wszystkim bywają uwzględniane. Można dla interesów ogólnych poświęcić miłość własną, można zgodzić się na „senat” złożony z księdza Klawitera, księdza Pitasa, księdza Moczygęby, i wielu innych duchownych, którzy zresztą mogą być zacnymi ludźmi, ale niepodobniestwem jest służyć kierunkom, uwzględniającym te interesa ogólne o tyle tylko, o ile nie stoją one na przeszkodzie wyłącznie religijnym lub wyłącznie duchownym. Wiem, że jest wielu ludzi przekonanych, że te ostatnie nigdy nie sprzeciwiają się pierwszym, postaram się więc jeszcze o dowody, że bywa przeciwnie. I tak na przykład: wszelka dochodzi znaczenia, tem większy wpływ może wywierać na wewnętrzną politykę Stanów Zjednoczonych, zatem na ustawy i urzędnika z własnym dobrem zgodne, im jest liczniejszą, bo-

gatszą i bardziej zorganizowaną. Irlandczycy, i Niemcy mają wpływ podobny, Polacy — nie! Zbyt mało są liczni, zbyt ubodzy ogólnie, zbyt mało znaczący. Ale położenie rzeczy zmieniłoby się niezawodnie, gdyby w ogólny ustrój, mający wprowadzić jedność wewnętrzną między Polakami, weszli i żydzi. Nie mówię tu o poznańskich i galicyjskich, ci bowiem trzymają z Niemcami, ale o żydach z Królestwa, których w całych Stanach przynajmniej na 100 000 można rachować, a którzy przedstawiają nietylko taką ilość głosów, ale i kapitał. Są to bowiem po największej części ludzie zamożni. Nędzne i zasługujące na wszelką pogardę przesady rasowe, odgrywające tak wielką rolę w Europie, tu nie istnieją; nieby więc nie przeszkadzało przyłączeniu się żydów do rozlicznych towarzystw polskich, gdyby nie to, że towarzystwa te noszą charakter kościelno-religijny, uwzględniający tylko Polaków wyznania katolickiego. Samym żydom nie brakłoby ochoty. Słyszałem to z ust wielu z nich. Nie potrzebuję zaś dodawać, że przyniosłoby to nieobliczone korzyści. Wszystkie zamiary organizacyjne rozbijają się tu wiecznie o brak funduszy. Otóż żydzi mają fundusze. Inne narodowości posiadają własne wyższe szkoły, biblioteki, własne szpitale, instytucje, zapewniające pomoc w wyszukaniu zarobku nowo przybywającym, własną ogólną kasę, przeznaczoną do wspierania nietylko pojedynczych osób, ale i całych kolonii w razie klęsk pożaru, nieurodzaju, powodzi i szarańczy. Polacy mogliby to mieć wszystko, gdyby byli liczniejsi i bogatsi — a byłiby liczniejsi i bogatsi po złączeniu się z żydami polskiego pochodzenia — które to połączenie nie nastąpiło i nigdy nie nastąpi ze względu na przeszkodę, jakie stawiać mu będą dachowni.

Nakoniec połączenie wszystkich ludzi polskiego pochodzenia w jeden organizm wymagałoby pewnych kosztów na administrację i inne instytucje, o których wyżej wspominałem. Koszta te opłaciłyby się niezawodnie niezmiernymi korzyściami całemu ogółowi, ale przyniosłyby pewien uszczerbek dochodom parafialnym. Jest to także wzgląd, który stanowi niemałą przeszkodę w przeprowadzeniu połączenia. (D. n.)

## Stronnictwa w Galicyi.

(Dokończenie).

Dziennik się poprawiał i psuł na przemian. Nagle zjawia się w fejtynie owa pamiętna *Kronika Lwowska*, technąca niebywałym dotąd jadem parafiańskiej zacieklności i nazywająca Wystawę, (której pomyślny rezultat jednomyślnie uznanym został) *awanturną* wystawową, artykuł nietaktowny, niedorzeczny, a jęczący niegodziwie ów fatalny antagonizm Lwowa i Krakowa. Artykuł ten, powiem to na chlubę krakowskiej publiczności, powszechnie tu wywołał oburzenie — nawet między najzagorzalszymi przyjaciółmi *Czasu*. W kołach stańczyków nawet nazywano ten artykuł „nieszczęściem” i „klęską”, usprawiedliwiano tylko niedbalstwo redakcyi, która go umieściła w całości dla kilku dowcipów, nie zastanowiwszy się nad tem, jakie one „wrażenie” wywrzeć mogą. Wobec tak niespodziewanego a jednoogólnego tym razem objawu opinii, który zaszczyt przynosi Krakowianom, postanowiono odwołać co się napisało. Uczute żywo własną, z własnej winy poniesioną porażkę. Popłoch, wzajemne wyrzuty i inkryminacje. Mimo wszystkiego złego, które u nas zaszczyliło stańczykowstwo, mimo tej grubej pleśni, pod którą zagrzebało patriotyczne

uczucia, okazało się, że w głębi piersi biją tam jeszcze *wszystkim* serca poczciwie. — *Wszystkim* powtarzam — bo nawet w kołach towarzyskich, w wysokim stopniu zakazanych stańczykowską zarazą — oburzenie było powszechne, szczere, nieklamane. Dwie zaledwie osoby znalazły się, które, ubolewając nad popełnionym „błędem”, nie uznawały jednak potrzeby, aby go naprawić bezwarunkowym przyznaniem się do winy. Jedna z nich żądała tylko, aby umieścić drugi fejtyn p. t. *Kronika Lwowska*, w wręcz przeciwnym duchu od pierwszego napisany i zatrzeć w ten sposób wrażenie pierwszego, lub też szeregiem niefejtonowych, ale poważnych artykułów pośrednio odwołać fejtynowe dowcipki. Druga, do „historyozoficznych” odwołując się doktrynek, twierdziła, iż lepiej popełnić największy nawet błąd w dzienniku, niż go odwoływać: poważne pismo nie odwołuje nigdy, bo niezem bardziej nie może zaszkodzić stronnictwu, którego jest organem. Oprócz tych dwóch osób, wątpię, aby kto więcej przeciw odwołaniu się oświadczył; sama nawet redakcyja była za sprostowaniem, co się sprostować da, a odwołaniem co odwołać wypadnie. List podobno nakoniec, otrzymany ze Lwowa od wielce wpływowej w kołach stańczykowych osoby, wszelkim półśrodkom drogę zagroził: odwołano, a odwołano w sposób tak zupełny i tak bezwzględne przyznanie się do winy zawierający, że istotnie żaden może jeszcze dziennik pierwszorzędny na krok podobny się nie zdobył. Odwołanie to było krokiem „śmiałym”, nie wiem czy zręcznym, ale koniecznym. Odwołaniem tym zrehabilitowała się niejako redakcyja wobec głosu powszechnego oburzenia, które i najzagorzalszych stańczyków owładło, ale z drugiej strony znaczenie jej w stronnictwie niesłychanie się obniżyło, dziennik w własnym stronnictwie przestał być wyrocznią, przestał być powagą, stał się „zwykłym dziennikiem, do innych podobnym”... Co ważniejsza, ów Sanhedryn arcystańczykowy, ów „rząd moralny”, którego *Czas* jest organem, pod bezpośrednim jego zostaje wpływem, potknięciem się *Czasu* upadł w opinii własnego stronnictwa i jego bliższych i dalszych przyjaciół. W ręku „rządu moralnego” złamał się trzydziestoletni instrument, będący najpotężniejszą jego bronią, dźwignią najsilniejszą wpływu i znaczenia. Potrzeba było go naprawić.

Jaki ku temu środek?... Staropolski, szanowni czytelnicy! starszlachecki!... Gdy się przyjaciele poróżnią, sąsiedzi pokłócą, obywatelstwo jakiej okolicy podzieli na dwa obozy, gdy poseł, albo delegat, albo marszałek powiatowy straci na zaufaniu i powadze, *probatum est*, środek najlepszy: obiadek, kolacyjka, przyjacielskie zebranie, toasty, mówki, to patetyczne, to znowu ucieszne, wzajemne wreszcie oświadczyzny, serdeczna akkolada i basta! Już po wszystkim, już po niesnaskach; odradza się upadek zaufanie, zachwiana powaga podparta osobistego stosunku scieżnieniem, nowym drapuje się płaszczem... Byle tylko wtedy w wielki dzwon uderzyć, uroczyste bić w kotły i tarabany, wystrzelić ze dwa razy na wiwat z moździerza: niech wiedzą w Rzeczypospolitej „od morza do morza” jacy my liczni, jacy my zgodni, jak u nas huczno i buńczuczno i... jaka siła w wystrzelonym prochu... toastowych frazesów.

Podobnego środka użyto i tym razem dla podreparowania powagi stańczykowego organu, a tem samem dla połatania rozpadającej się już w łachmany królewskiej purpury „moralnego rządu”. Sposobność po temu dawała przypadająca właśnie w tym czasie trzydziestoletnia rocznica założenia pisma. Szło o to przede wszystkim, aby na to zebranie „przyjacielskie” sprosić i ściągnąć jak największą liczbę osób, a jak najwięcej



tutejszych „znakomitości”, świetnych stanowiskiem społecznym lub politycznym, zasługą naukową lub obywatelską na innym polu działalności, indywidualności wreszcie wybitnych i znanych w kraju z nazwiska, któreby obecnością swoją na jubileuszowej biesiadzie zmanifestowały solidarność z opinią *Czasu*, same uczestnictwem w tej *Apagie* czuły się na przyszłość poniekąd związane i służyły oraz za lep dla dalszych a z miejscowymi stosunkami nieobznajomionych... Słusznie mniemano, że ludzie nieznający zblizka położenia rzeczy, wyczytawszy w spisie uczestników obchodu jubileuszowego imiona znanych, światłych i zasłużonych ludzi, powątpiewać przestaną o znacznej tendencji i politycznym rozumie pisma, takich mającego przyjaciół.

W naszej mieście, gdzie wszyscy z sobą się znają, gdzie wszyscy z konieczności z sobą żyją w pewnym stosunku towarzyskiej poufałości, jako znajomi codzien się prawie spotykający, nie trudno było wyzyskać ten towarzyski stosunek i sprosić na wieczorek „przyjacielski”, mający się odbyć w sali redakcyjnej przy ulicy Różanej, z powodu przypadającej dla dziennika rocznicy. Towarzyska grzeczność nie dozwalała odmówić grzecznemu zaproszeniu na wieczorek, o którego właściwym znaczeniu i zamierzonym rozgłosie nikomu z niewtajemniczonych ani myśl się nie przesunęła przez głowę. Pułapka nastawioną była z niepospolitą zręcznością. Nietylko ludzie, niezaliczający się w komput stańczyków, ale nawet zdecydowani przeciwnicy dziennika nie mieli powodu usunąć się od udziału w „przyjacielskiej” herbatce. „Nie jestem zwolennikiem waszego pisma (pomyślał niejeden), cóż mi to jednak przeszkadza być z redaktorami w przyjaznym towarzyskim stosunku? Ubiegacie się o moją przyjaźń? ha, towarzyska przyzwoitość wymaga odplacić się wam... grzecznością”. Niemniej znalazło się kilku „mniej dobrze wychowanych”, którzy, jak się jeden z nich wyraził, „zwąchali pismo nosem” i bądźto wręcz odmowną przesłali odpowiedź, bądź też wiele dyplomatycznie tłumaczyli swą nieobecność zapóźnem otrzymaniem zaproszenia.

Wiadomo, że „poufny przyjacielski” wieczorek przybrał cechę „uczty politycznej”, a to zarówno skutkiem obecności wielu znakomitości krakowskich, jak i skutkiem mów i toastów, które tam wnoszono. Niejeden z uczestników tłumaczył nazajutrz i usprawiedliwiał, jak mógł, obecność swoją na tej stańczykowskiej *Apagie*: „Wpadłem jak Piłat w Credo” i t. p.

A więc powiodła się ta genialnie obmyślana manifestacja na cześć i sławę *Czasu*?... Powiodła się — bo przyszła do skutku, ale nieco inaczej się odbyła, niż zamierzono: — Nie szczęści się jakoś stańczykom w tym roku dwóch siódemek — bo i tu nie obeszło się bez małego *fiasco*. — Jedyń reprezentant Lwowa i wschodniej Galicji, którego na ten jubileusz przyciągnąć zdołano, znany autor kilku udatnych fars (*malum omen!*) bądź to nie zrozumiał tego, że całe znaczenie tej niby zaimprovizowanej manifestacji zależy od *sine qua non* uroczystego i poważnego nastroju zgromadzenia, przemówień i toastów, bądź też może rozmyślnie dał się unieść żartobliwej werwie i z nierównym humorem, jakby kłęb dymu z papierosa, rozdmuchał patetyczno-tragiczny nastrój „politycznej uczty”, w wesołą zmieniając go farsę. Pochwylił wtedy ten ton obecny na zgromadzeniu redaktor *Poradnika Przemysłowego*, a były współredaktor *Kraju* i najzaświetszy niegdys stańczykowie nieprzyjaciół, a osłodziwszy swoją przemowę kilkoma frazesami miłemi dla konserwatystów, t. j. przyznaniem pewnych zasług ich organom, a zaprzeczeniem tychże pseudo-postępowemu dziennikarstwu, wobec konserwatywnego

zgromadzenia uznał się demokratą, a wobec oświadczeń poprzednich mówców, że biesiada ta jest zebraniem przyjaciół dziennika, zespolonych z nim zasadami, „z których każdy obecny złożył dowody wspólnotwa z dziennikiem”, z całą bezwzględnością wyrzekł, iż „miło mu jest dać wyraz uczuciu szacunku dla stronnictwa i organu, do którego nie należy”. Było to oświadczeniem „nie fortunem”, jak się wyrazili stańczycy i rozbiło doszczętnie ów zamierzony charakter zgromadzenia, które miało świadczyć o solidarności uczestników z zasadami *Czasu*. — Gdyby, (jak twierdziły obrażone przemową tego mówcy tenniki), gdyby rzeczywiście redaktor *Poradnika* udał się po odpust na ten jubileusz, nie mógł uczynić nic takiego, co by dostąpienie odpustu bardziej uniemożliwiło, jak ta niepożądana deklaracja. Nie mamy zresztą prawa wglądać, jakie pobudki skłoniły go do obecności na zgromadzeniu „przyjaciół” *Czasu*. O intencji jego przemowy również nie czynimy domysłów. Konstatujemy tylko fakt i jego wrażenie.

Czy „rząd moralny” z góry dwie na cześć swoją postanowił urządzać biesiady: jedną wrzekomo przez redakcję *Czasu* dla przyjaciół dziennika, drugą wrzekomo przez przyjaciół dziennika dla jego redakcyi, — tej kwestyi nie umiałbym rozstrzygnąć. Być może, że zakrawający na *fiasco* rezultat pierwszej „uczty politycznej”, z której, jak na cichy Kraków, dość głośno dowcipkowano w mieście, natchnął tych demonstrantów osobliwym pomysłem zarządzenia drugiej, większej, liczniejszej, efektowniejszej „politycznej uczty”; prawdopodobniejszem wydaje mi się jednak przypuszczenie, że była z góry postanowioną. Tyle wiem tylko na pewno, że wielkich potrzeba było wysiłków i zabiegów, aby tę drugą „uczty polityczną” doprowadzić do skutku, w sposób, któryby jako tako odpowiadał celowi. Rezultat jej acz niezbyt dla stańczyków pocieszny, smutnym jest jednakże dowodem powszechnego braku odwagi cywilnej: ludzie, którzy wyśmiewali się z pierwszej biesiady, nie umieli się oprzeć natarczynom namowom i dla „towarzyskich względów” wzięli udział w drugiej. „Ja, spokojny człowiek... odmówienie udziału byłoby rzuceniem rękawicy... dyabełby z nimi wojował, oni wszystko mają w ręku... ja ich obrażać nie chcę... ha, skoro kwestye stawiają na ostrzu noża, pójdę, koronę mi z głowy nie spadnie, sobą być nie przestanę, ani się przekonam moich nie wyrzekam”. Takie i podobne tłumaczenia się i usprawiedliwiania słyszeć można było nie w jednym miejscu. Inni usprawiedliwiali się: „zaprosiła mnie redakcyja do siebie na wieczorek, byłoby niegrzecznością, gdybym nie należał do składkowej dla niej kolacyjki”. Byli i tacy, którzy poszli z nałogu należenia do wszystkich składkowych biesiad „w cześć Chrystusa czy Heroda”. Ten poszedł dla prostej ciekawości usłyszenia tych wszystkich mówek i toastów, aby się ubawić i wyśmiać. Owemu powiedziano, że w tych mowach wyrazem będzie żądanie reformy i zmiany kierunku, tak, że to *Czasowi* „aż w pięty pójdzie” i t. p. Przyjaciele *Czasu* krzatali się tak żywo i z takim impetem rozbijali się za współbiesiadnikami, że nie wahali się zachęcać do uczestniczenia takich nawet ludzi, których całe życie było nieustanną walką przeciw kierunkowi, którego *Czas* jest organem. Wszędzie liczyli oni na brak cywilnej odwagi i na tę „towarzyską uprzejmość”, która nie dozwala odmawiać. „Wszak tyle razy jadłeś z nimi obiad w restauracyi.. to się przecież nie otrujesz, jedząc z nimi kolacyę. Cóż to, czy się demokracji obawiasz, aby cię nie powiesiła?... Udało się tedy i kilkadziesiąt („blizko sto”, wyraził się *Czas*) osób, wzięło udział w drugiej demonstracyjnej „uczty politycznej”. Nieliczni niestety byli ci, od których agentom

„moralnego rządu” stańczykowego dostała się zasłużona odprawa.

Udało się. Tak, udało się zebrać biesiadników. Rzecz jednak szczególna, iż po kilku przemówieniach przewodników stronnictwa, najściślejszym węzłem złączonych z *Czasem*, z licznych „znakomitości”, a rzeczywistych powag naukowych i politycznych nikt się nie mógł zdobyć na zabranie głosu. A jak *Czas* pisze, było tam przecież kilku posłów, byli członkowie Akademii, profesorem Uniwersytetu, właściciele dóbr i znakomiti obywatele miejscy. Po pierwszych czterech mowach hr. H. Wodzickiego, Szukiewicza, Tarnowskiego i Szujskiego, głucho nastąpiło milczenie. Ostatni wniósł „zdrowie ducha publicznego” (!), a duch publiczny odpowiedział mu — milczeniem. Konstatując ten fakt, odezwał się wtedy po długiej przerwie redaktor *Poradnika*. Milczenia powód w tem upatrzył, że wszyscy „wartością” (!) ostatnich przemówień zostali „zagwożdżeni” (!). Polemizując następnie z Szujskim, stanął w obronie tych „którzy nie mają nic do stracenia, a o których ujemnem działaniu była mowa”, zarzucił natomiast ich przeciwnikom, „o których dodatniej wartości była mowa, że bardzo często grzeszą brakiem odwagi cywilnej”. Odwagę taką przyznał p. Popielowi, z powodu jego ostatniej broszury; oświadczył jednak, że się z nią nie zgadza. Oświadczenie to było pośrednią odpowiedzią na toast redaktora *Czasu*, który wyraził, że wszystkich obecnych uważa za „idealnych współpracowników dziennika, zespolonych z nim duchem”. *Czas* bowiem z broszurą p. Popiela solidaryzował się zupełnie. Nie będę podnosił dalszych, nieco drastycznych epizodów biesiady, które *Czas* rozmyślnie pominął, bo tracąc skandalem; przytoczę jednak wedle *Czasu* ostatni toast, którym po daremnych usiłowaniach, aby obecne „znakomitości” do przemówienia nakłonić, starano się skonstatować wobec zgromadzenia, że obecnością swoją solidaryzują się z opiniami *Czasu*. — Wniesiono: „zdrowie tych, którzy *wprawdzie nie zabierali głosu, ale w zupełności podzielają wypowiedziane zdania i zasady*”: — *Qui tacet consentire videtur!* — Na to, wyrażając milczących, odrzekł coprędzej redaktor *Czasu*: „iż obecność posłów jest tak wymowną, iż już ona sama wystarczy, aby ją poczytać za manifestacyę tych zasad i tych uczuć, które w tem zebraniu były wypowiedziane”.

Tak się udała „uczta polityczna” stańczyków, której uczestnicy, wedle *Czasu*, chcieli okazać „łączność swoją z zasadami przez *Czas* wyznawanemi”.

Pełnący urok „moralnego rządu” i jego organu nowym zaświeci blaskiem: zgromadzono „blizko sto osób” na kolacyę, zsolidaryzowano je z opinią *Czasu* i w toastowych mówkach odparto coraz głośniejsze zewsząd przeciw stańczykowie zarzuty. „Burza, zapomocą sztucznej maszyneryi (?) wywołana nad głowami naszymi” (t. j. stańczyków), ta burza, o której aż trzech wspomniało mówców — potęgą ich wymowy zażegnana. *Czas*, który „przebywa cięższą niż kiedykolwiek próbę, bo pomnożyły się szeregi nieprzyjaciół jego”, wyjdzie z tej próby zwycięsko. Co mówię? już z niej wyszedł!...

Przytoczyliśmy ten długi ustęp dla tego, że on maluje w sposób nader dosadny i prawdziwy i sam organ stronnictwa i sposoby jakimi on działa i wszystkie owe drobiazgi, z których się składa ta akcyja. Trzeba bowiem raz na zawsze pamiętać, iż nie chodzi tu o rzeczy wielkie, o ogólne, o krajowe, ale o maluczkie, o powszednie, z których składa się ciąg życia codziennego. Stańczyki na miarę większych wypadków nie starczą nigdy, ale drobne opanują, wyzyszczą i z nich sobie bardzo wygodne stanowisko utworzą. Co w powyższym obrazku możnaby wzmocnić, to przegląd samego dziennika,



którego nędza redakcyjna przechodzi wszelkie granice; lecz niech nas czytelnik od tego uwolni, gdyż nie piszemy krytycznego rozbioru dziennika, ale charakteryzujemy go jako organ stronnictwa. Zresztą będziemy jeszcze mieli sposobność pomówić o tem przy rozbiórce zasad, które stanowią podstawę programu stanoczyków.

## Aleksander hr. Wielopolski.

(Wspomnienie pośmiertne).

(Ciąg dalszy).

Zanim przypomnimy sobie publiczną działalność Wielopolskiego, musimy przypatrzeć się jego charakterowi i tym właściwościom, z jakimi do niej przystąpił. Margrabia Myszkowski z pochodzenia, majątku i wychowania był arystokratą, i jeżeli kiedykolwiek mógł się zidentyfikować na chwilę z żywiołami społecznie niższymi, to tylko wtedy, gdyby od takiego związku powodzenie jakiegos przedsięwzięcia zależało. Chociaż możnowładztwo polskie, skompromitowane w ostatnich chwilach samoistności kraju, straciło w nim obywatelski kredyt i nawet po części zrzekło się przewodnictwa w narodzie, chociaż główne polityczne operacje w wieku bieżącym dokonywały się pod sterem pierwiastku przeciwnego, tradycyjne wszakże znaczenie polskiego pana, powołujące go do zabierania decydującego głosu w splątanych sprawach ogólnych, nie wygasło całkiem w tej sferze a w energicznym i silnym jej umyśle, przy stosownym podmuchu wypadków, łatwo rozżarzyć się mogło. Wielopolski czuł to wyraźnie, że wpływ możnowładców w kraju zmalał, że go po nich przedstawiciele demokracji zagarnęli, wierzył jednak, że zdolnością i rozumem uda się ich spędzić z zajętego stanowiska i znowu niemi owdładnąć. Jako arystokrata nie szedł on do celu drogą gwałtownych przewrotów, z jego socjalnymi nawet przekonaniem niezgodnych, lecz ciążył zawsze ku stronie środków legalnych. Gdy dziś patrzemy na niego z odległości lat kilkunastu, po przez wypadki, które po okresie jego działalności nastąpiły, przedstawia on nam się tylko jako człowiek, dalej od współczesnych widzący, jako jedyna głowa trzeźwa wśród powszechnego roznamiętnienia. Być może, a nawet jest do pewnego stopnia niewątpliwem, że Wielopolski lepiej od innych znał położenie i trafniej przewidywał skutki nierozważnych pokuszeń, bo rozumniejszy od innych nakreślił plan postępowania. Nie wszystko jednakże wypłynęło z jego politycznej mądrości, najmniej połowę zamiarów i czynów natchnęły mu jego socjalne przekonania. Margrabia Myszkowski, dziedzic olbrzymiego majątku, reprezentant głośnego imienia nie byłby w żadnym razie stanął na czele manifestacji pospólstwa, bez względu na swoje polityczne sympatyje; cóż dopiero, gdy manifestacje takie uważał za niebezpieczne i szkodliwe.

Jeżeli uprzytomnimy sobie dokładnie ówczesną chwilę, to łatwo przyjdzie do wniosku, że w jej warunkach żaden typowy arystokrata polski do wysokości zadania wznieść się nie mógł. Każdy bowiem w tradycyjnej swojej naturze posiadał cechy odstręczające dwustronnie. Konserwatyzm, lojalność, intencje postępowania spokojne go zalecały go oficjalnie a potępiały u masy; klerikalizm znowu, separatywne i wygórowane żądania stawiły w odwrotnym stosunku. Innemi słowy: każdy był dla białych czerwonym a dla czerwonych białym. Uwidocznił to najwyraźniej Andrzej Zamojski, który, przechylając się w połowie na obie strony, wpływy swoje

na nie ciągle zubożniał i żadnego porozumienia ani z władzą, ani ze zwróconemi do niej żadaniami osiągnąć nie mógł. Te właśnie, brakujące polskim arystokratom przymioty posiadał i godzić umiał Wielopolski. Przedewszystkiem ukształcał się od innych pretendentów do obywatelskiej władzy nie osłaniał się po jowiszowsku arystokratyczną chmurą i zarówno czuł pewną łączność z niższymi klasami społeczeństwa, jak uznawał ich prawa. Jego osławiona duma była w znacznej części zarozumiałością chińskich magnatów, którzy imponują nietylko swem stanowiskiem, ale i mądrością. Zamojski, mimo całej popularności, stał w swoim rodowo-olimpijskim majestacie dalej od masy narodu, niż Wielopolski z całym swoim chłodem. Pierwszy był panem, który gotów *kanalję* wyścisnąć i ucałować, ale nie zapominał nigdy, że poufalił się z *kanalją*. Wielopolski również pamiętał o swojej wyższości, ale czuł swoje pokrewieństwo z tymi, którzy mu władzą lub nauką wyrównywali. Liberalizm pomyślanych lub wprowadzonych przez niego instytucji przekonywał, że ich twórca wyluskał się z arystokratycznej łupiny i chciał być w zgodzie z duchem swojego wieku. Andrzej Zamojski nie byłby nigdy zreformował wolnomyślnie publicznego wychowania, nie byłby usunął od wpływu księży i nie zawrócił społeczeństwa na postępową drogę. On umiał tylko protestować przeciw wszystkiemu, co się jego przywiązaniu do kraju w arystokratycznym znaczeniu sprzeciwiało. Oponować zaś wzburzoną masę, zmusić ją do zamiany daremnych złudzeń na skromniejsze, ale pewne dobro—mógł zaprzagnąć tylko arystokrata *nowy*. Nie tał też dostojny świat, że Wielopolski był dla niego *nowym*. Według pewnej trafnej uwagi, Zamojski uznawał się za *gospodarza* kraju, a Wielopolskiego za *gościa*; nie też dziwnego, że przyszła chwila, w której nie uwzględnił złośliwej wymówki gościa, który się tłumaczył, że zbyt jest tłustym, ażeby mógł się pierwszy rzucić w objęcia chudego gospodarza.

Zródło dodatniej u współczesnych sławy jednego a ujemnej drugiego wyjaśni się łatwo, jeżeli zważymy, że ofiarą niechęci paść musiał ten, który się namiętnościom przeciwstawiał. W zasadzie przeciwstawiali się im oba, ale jeden tylko był czynnym. Zamojski zyskał sympatyę za lekliwość, Wielopolski — nienawiść za odwagę. Gdyby pierwszy zajął miejsce drugiego, ściągłaby również na siebie jego opinię. Ocaliła go bierność.

Lojalny więc, rozumny, odrodzony i śmiały arystokrata stanął u władzy, którą miał pokonać niekarne, roznamiętnione i sfanatyzowane umysły. One powitały go oburzeniem, my żegnamy go śmiertelnie. Tyle pamięci mu się od nas należy, ile przypada za to, że nie zwyciężył, tylko zwyciężyć pragnął.

## KSIĄDZ GÉRARD.

przez  
EMILA ZOLE.

U Robinota, w bogatej mieszczańskiej rodzinie, mały familijny obiadek. Wszystkiego cztery nakrycia: dla pana Robinota, dla pani Robinot, dla panny Klementyny ich córki i dla księdza Gérarda z miejscowej parafii.

— Księżę proboszczu, jeśli łaska, jeszcze kawałek ryby—nalega pan Robinot. Wszak ksiądz proboszcz lubi rybę, proszę więc nie odmawiać.

— Księżę proboszczu—szepcze z drugiej strony pani Robinot — jeszcze kilka grzyb-

ków, bardzo proszę!... Proszę wziąć, ot te, z przyjaźni dla mnie.

Nawet służąca Franciszka, otwierając butelkę, szepcze proboszczowi na ucho:

— Może Chambertina ksiądz proboszcz każe sobie podać.

A ksiądz Gérard, promieniejąc, odpowiada na prawo, odpowiada na lewo, uprzejmie i grzecznie; dziękuje nawet Franciszce, mrugnawszy po przyjacielsku w jej stronę. Pieszcza go w rzeczy samej. Ale ryba doskonała, a zjeść kilka grzybków zawsze on się chętnie zgodzi. Poczem, oparłszy się o grzbiot krzesła, z napół przymkniętymi oczami wychyla do dna kieliszek Chambertina. W jadalnym pokoju ciepło; obiad doskonały. Trudno wymyślić coś więcej delikatnego i przyjemnego, nad taki wieczór w szanownej rodzinie, która cię ubóstwia. Ksiądz Gérard ma lat pięćdziesiąt. Jest on otyły, lecz sam tak zabawnie śmieje się ze swego wielkiego brzucha, iż nikomu do głowy nie przychodzi go tem drażnić. Szerokie jego, czerwone, delikatne oblicze świadczy o umysłowej równowadze, o szczęśliwym spokoju jego życia. Syn zamożnych mieszczan, został księdzem nie z zapału lub zamiłowania, lecz wskutek rachuby. W seminarium był dobrym uczniem, posłusznym i uległym, którego wszyscy lubili. Nigdy nie niepokoił swych profesorów ani żywością, ani niepojętością swego umysłu; nawet ze skromności, czy wyrachowania, starał się nie objawiać rozumu. Mówili o nim, że to dobry chłopiec, a on starannie tłumil ogień swych małych, czarnych oczów, w których błyszczała chytrłość. Jak tylko otrzymał święcenie, poczęły się nań zaraz sypać powodzenia. Dostawały mu się najlepsze parafie, w końcu mianowano go proboszczem głównej parafii w Tours, gdzie i dotychczas żyje sobie, jak pączek w maśle. Przyjaciele powiadają o nim, iż lada dzień zostanie biskupem. Wyższa władza wciąż go pcha na przód, widząc w nim jeden z tych szczęśliwych, łaskawych, pobłażliwych charakterów, które więcej robią w naszych czasach dla religii, niż apostołska ostrość i namiętność. Trudno rzeczywiście znaleźć człowieka bardziej dobrodusznego, robiącego dla świata możliwe ustępstwa, na które mu tylko godność pozwala, a przytem umiającego wszędzie się wcisnąć i uporczywie dobijać się wszystkiego, co tylko sprawy religii dotyczy.

Powodzenie ma on w Tours olbrzymie. Tours, jak i wiele innych prowincjonalnych miast, przedewszystkiem ceni swój mieszczański spokój, swe opasłe, leniwe życie. — Kobiety—po większej części dewotki, mężczyźni nigdy do kościoła nie chodzą. Ksiądz w takim otoczeniu powinien być zręcznym dyplomata, by utrzymać za sobą kobiety i nie rozgniewać mężczyzn. Jeżeli wprowadzi do rodziny niesnaski, wkrótce znajdzie się w niemożliwym położeniu. Ksiądz Gérard okazał się nadzwyczaj zręcznym człowiekiem i to bez żadnych usiłowań, gdyż w usposobieniu jego leży umieć ze wszystkimi żyć w zgodzie. Przyjmują go we wszystkich rodzinach; spowiada on żony i córki, gra w pikietę z mężami, wysłuchuje zwierzenia młodzieży. Panuje nad umysłami, lecz zawsze stara się przygasić blask chytrkości, błyszczący w jego oczach. Dewotki go uwielbiają; niedowiarki mówią o nim, że to bardzo przyjemny człowiek.

— No, jakże księdzu proboszczowi drób smakuje? zapytał Robinot.

— Doskonały... Prosiłbym jeszcze troszkę sałaty.

Po deserze podają kawę i likiery. Pani Robinot i Klementyna opuszczają jadalny pokój. Ksiądz Gérard wypija odważnie mały kieliszek Chartreuse. Ponieważ jest sam na sam z Robinotem, wszeczyna więc rozmowę o skandalu, który poruszył całe mia sto.



Pewna dama uciekła z młodym człowiekiem do Paryża.

— Prześliczna osoba — powiada ksiądz — wysoka, wysmukła, zęby jak perły...

— Zdaje się, że była penitentką księdza dobrodzieja — wtrąca Robinot.

Lecz ksiądz udaje że nie dosłyszał. Następnie rozrzuca się w ojcowskich uczuciach: biedna kobieta, będzie pewnie bardzo nieszczęśliwą; gdyby go rodzina o to poprosiła, zgodziłby się odwiedzić ją w Paryżu i próbowałby nawrócić na drogę cnoty; jest przekonany, że jemuby się to udało. Robinot tymczasem śmieje się i usiłuje wprowadzić w zakłopotanie księdza, który nakoniec wesoło wykrzykuje:

— No, dość o tem. Jesteś pan bezbożnikiem, chciałbyś mnie na czemś załapać... A chyba, mogłeś się już pan przekonać, że to się ze mną nigdy nie uda.

Robinot, zwolennik Woltera, czytający demagogiczne gazety, ustawicznie drażni księdza. Często go on naprowadza na skandaliczne rozmowy, stara się go złapać na jakimś grzechu i ciągle wymyśla nowe żarty, aby go rozgniewać. Lecz ma do czynienia z silnym przeciwnikiem. Ksiądz nigdy się nie gniewa, na żarty odpowiada żartami, rozmawia o kobietach i innych rzeczach tonem człowieka, którego cielesne żądze nie niepokoją i któremu wielka czystość pozwała o wszystkim mówić bez obawy. Zwykle lekkie te potyczki kończą się porażką Robinota.

W salonie czekają na nich pani Robinot i Klementyna. Ksiądz natychmiast usadawia się między nimi, a Robinot wychodzi do ogródka wypalić cygaro. Zupełnie już innym, łagodnym i przekonującym głosem rozmawia proboszcz z damami o wielkiej procesyi, która ma mieć miejsce w następnym tygodniu. Jest on spowiednikiem matki i córki. Rozłożywszy się spokojnie na fotelu, kręcąc w ręku tabakierkę, opowiada, iż ceremonia będzie bardzo wzruszającą.

— Tak, wszystkie bractwa przyjmą w niej udział. Słyszałem chorał, którego w obecnej chwili uczą się Siostry Sakramentki; nie sądzę, by można było usłyszeć coś piękniejszego... Panie wiecie, że jutro rano będziemy słyszeć kazanie ojca Euzebiusza o grzeszności kokieteryi.

— Pójdziemy rano do kościoła dla uniknięcia tłoku — powiada pani Robinot.

A zwróciwszy się ku Klementynie ciągnie dalej.

— Pokaż księdzu proboszczowi, jak daleko posunęła się twaja robota.

Klementyna przynosi stulę, którą wyszywa dla księdza. Na złotem tle mistyczne kwiaty czerwone i zielone. Pyszna robota. Ksiądz obsypuje pochwałami młodą panią, która rumieni się z radości. Następnie znów rozpoczyna gawędę, rzucając to jednej, to drugiej słówko głosem cichym, spokojnym, jak gdyby je spowiadał. One zaś upajają się jego wyrazami i oddają mu się całą duszą. Wtem Robinot, który wypalił już cygaro, krzyczy, wchodząc:

— Nasz proboszcz zajmuje się tylko zwracaniem głowy kobietom.

Lecz proboszcz jest w swoim kółku, nie chce więc rzec się odpowiedzi.

— Właśnie mówiliśmy o panu, panie Robinot — rzekł z lekkim uśmiechem. Mówiliśmy właśnie, że będziesz brał pan udział w procesyi, która odbędzie się we czwartek.

— Tego byłoby za wiele — bardzo dziękuję.

Proboszcz, milcząc, po przyjacielsku tylko grozi mu palcem. Zjawia się kilku dobrych znajomych, salon się zapełnia — prowincjonalny salon, do którego damy przychodzą ubrane po domowemu. Widzimy tu archiwistę hipoteki, starego oryginała, który nie cierpi jezuitów; grubego handlarza zbożowego republikańskich przekonań; se-

kratarza prefektury, przystojnego młodego człowieka, popisującego się sceptycyzmem paryżkiej młodzieży. Wszyscy jednakże serdecznie ściskają księdza za rękę. Co się zaś tyczy dam, te na chwilę zatrzymują się przed nim w ekstazie. Czy zdrow? czy go nie męczy podagra? i jak się czuje po ataku u pani Letellier przy wstawaniu od stołu? Damy są bardzo zaniepokojone, gdyż znajdują, iż jest nieco blady. Lecz on uspokaja je. Zdrowie jego, dzięki Bogu, w jak najlepszym stanie. I zasiada do pikiety z archiwistą hipoteki, który nie cierpi jezuitów.

Potem rozmowa staje się ogólną. Ksiądz Gérard wtrąca od czasu do czasu słówko podczas gry, lecz starannie unika rozmowy o religii. Nie jest już w tej chwili księdzem i stara się być tylko przyjemnym gościem, zachowując szczególną łagodność mowy właściwą jego stanowi. A gdy który z tych panów okazuje się na tyle źle wychowanym, iż wspomina o jego sutannie, to on uśmiecha się, nie odpowiada, jak gdyby nie życzył sobie przyjąć wyzwania. Całe miasto mówi jeszcze o skandalu, który zrobił inny ksiądz przeciwnego usposobienia, pokłóciwszy się w jednym domu z archiwistą hipoteki, który obwiniał jezuitów, iż dla przytępienia narodu propagują używanie tytoniu. Rozumie się, podobna historia nigdyby nie zmusiła księdza Gérarda do zapomnienia o prawidłach grzeszności; przeciwnie, samby się z niej śmiał, gdyż wymysły archiwisty hipoteki mają własność rozśmieszania go do łez. Kiedy się bywa w towarzystwie, należy ulegać jego wymaganiom i być pobłażliwym na drobnostki, szczególnie jeśli się jest pasterzem dusz. Ksiądz Gérard trzyma się zasady — znosić mężów i szukać pociechy w przywiązaniu żon.

Pomimo tego wszystkiego nie jest on w stanie zawsze unikać sporów. Gdy partya pikiety się skończyła, Robinot i gruby handlarz zboża odwodzą go na stronę i sprządzają rozmowę na rolę, jaką gra religia w obecnym społeczeństwie.

— Mówiąc seryo, księżo proboszczu — objaśnia Robinot — ja wcale nie jestem takim bezwarunkowym wrogiem religii, jak ksiądz może sądzić... Sam nie wypełniam obrządków kościoła, gdyż rozum mój nie znosi niektórych punktów wiary, które wypada albo w zupełności przyznać, albo w zupełności odrzucić. Gdybym wypełniał obrządki przy mojem usposobieniu umysłowem, musiałbym być hipokrytą, a sądzę, iż lepiej już być niedowiarkiem... Czy nie mam racyi, księżo proboszczu?

Ksiądz nic nie odpowiada, poprzestając na kiwnięciu głową.

— Lecz — ciągnął dalej Robinot — ja się chętnie zgodzę, że religia — to pyszna, moralna policja. Dla tego też ona była i zawsze będzie użyteczną różgą dla naszych żon i córek. Głowa kobieca musi być czemkolwiek zajęta a wolę, by u mojej żony siedział Pan Bóg w głowie, niż jakiś kawalerski oficer...

Sekretarz prefektury, który w tym czasie przyłączył się do tej grupy, śmiał się wielce i uznał tę uwagę za wyborną.

— Prócz tego, nauczacie je ślicznych rzeczy: wypełniania małżeńskich obowiązków, łagodności, posłuszeństwa i grozicie im męczarniami piekła, jeśli się nie będą dobrze prowadziły. Wszystko to bardzo pożyteczne dla mężów. Ja wiem dobrze, iż wam wyrzucają, że zabieracie za dużo władzę nad naszymi żonami i nieraz je nam odbijacie. Lecz to nie przeszkadza, iż w większej części wypadków religia podtrzymuje dobre obyczaje.

— Słowem, jesteście zandarmami waszego honoru — przerwał ksiądz Gérard z uśmiechem.

Sekretarz prefektury znów wpadł w zachwyty.

— Pysnie pysnie — mrucał.

— No, co do mnie, to ja bym się chętnie obszedł bez tych zandarmów — zawołał handlarz zbożem. — Wybacz, księżo proboszczu. Jestem zanadto otwarty, lecz nie mam zamiaru pana obrażać. Tak, ja sądzę, że uczciwi ludzie nie potrzebują religii, by być uczciwymi. Gdyby moja żona rzadziej chodziła do kościoła, częściej siedziałaby w domu. Nie bardzo to pięknie wypełniać swe obowiązki z obawy piekła.

— Doprawdy, zachodzisz pan za daleko — rzekł Robinot — byle gospodarstwo nasze na tem nie cierpiało, to co nas reszta obchodzi.

— Jakto? co nas reszta obchodzi!... Czy pan sądzisz, że to zdrowo dla kobiety po całych godzinach kłęcząc, słuchać śpiewu najrozmaitszych psalmów i wachać zapach kadzidła? To działa na jej nerwy; gdy wraca z kościoła najdziksze myśli kręcą się jej po głowie.

— Tak, lecz zato ona wraca z kościoła, a nie z jakiego innego miejsca. To główne.

— A ja panu powiadam, że to bardzo źle.

— Nie, mój przyjacielu, jesteś zanadto despotycznym.

Ksiądz ostrożnie odchodzi, zostawiając Robinota i handlarza zbożem, by się spierali sami, przyczem spierają się bardzo ostro. — Wreszcie, gdy się uspokoił, ksiądz znów się do nich przybliżył i mówi jak najdobroduszniej w świecie:

— Wiecie panowie co — należałoby wam wziąć udział w procesyi... O! tylko dla przykładu, dla moralnej policji — jak nam dopiero co objaśnił pan Robinot.

Lecz oba wesoło odmawiają. Zanadto już było zabawnem pokazywać się na ulicy z woskową świecą w ręku, kiedy wszystkim znane są ich liberalne poglądy.

— Ja nie żądam, byście szli ze świecami w ręku — podchwytuje ksiądz Gérard również wesoło. Przyjdziecie sobie jak gdyby na spacer i znajdziecie się za baldachinem — w dobrem towarzystwie, mogę wam ręczyć, gdyż wszystkie władze i cała arystokracja miejska będą reprezentowane.

Obydwa mieszczanie dalej się śmieją. — Dziękują oni bardzo proboszczowi za zaproszenie, lecz doprawdy procesye przeciwnie są ich zasadom. Nie mogą w nich uczestniczyć. Ksiądz Gérard, jako grzeszny człowiek, dalej nie nalega, a ponieważ już wybiła dziesiąta godzina, więc się oddala. Wszystkie damy towarzyszą mu do drzwi, szepczą i śledzą za nim wzruszeniem spojrzaniem. Spokojnej nocy, księżo proboszczu, przyjemnych snów! Następnie pani Robinot, która zapomniała mu coś powiedzieć, leci za nim na schody i tam po cichu rozmawia przez dziesięć minut...

Następnego czwartku po za baldachinem w pierwszym rzędzie występują Robinot i handlarz zbożem. Bez wątpienia, ksiądz Gérard polecił pani Robinot przekonać swego męża. Robinot ustąpił, rozumie się, tylko przez próżność mieszczańską: jemu przyjemnie bardzo wcisnąć się w wyższe towarzystwo miejskie. Zresztą, ma on zamiar zachować swą niezależność i na następnych wyborach municypalnych poda głos przeciw kandydatom biskupa. Jeśli bierze udział w procesyi, to tylko dla tego, by nie uchodzić za człowieka źle wychowanego. Ale ksiądz Gérard, widząc go, uśmiecha się, a w malutkich oczach jego błyszczą płomienie tryumfu, gdyż może uważać się za rzeczywistego władzę w Tours. Panuje on nietylko nad kobietami, które przechodzą ze złożonemi rękoma i spuszczonei oczami; lecz rozprzestrzenia swą władzę i na mężów — zwolenników Woltera, dla których religia w przyjacielskim kółku jest przedmiotem ciągłych drwin. Zapewne, zanadto ma on wiele rozumu, by przypuszczać, że zdoła ich nawrócić na drogę prawdy, lecz dla niego wystarcza, by choć pozornie dawał dowody



swego szacunku dla religii. Gdy kościoły opróżnią się, ksiądz chciałby je choć czembądź zapełnić.

## KRONIKA POWSZECHNA.

### a) z Cesarstwa.

Akt oskarżenia, w sprawie o przestępną propagandę. (*Goniec Urzędowy. C. d.*). Orłow, przyjąwszy naukę Krawczyńskiego i Klemensa, według zeznania Szczegłowa, zrzekł się miejsca w zakładzie, w którym dotychczas pracował, i poświęciwszy się ostatecznie sprawie rewolucyjnej propagandy, zaczął żyć, według Nizowkina, na koszarach kółka „czajkowców”. Ci ostatni, według tegoż Nizowkina, przywiązywali wielkie nadzieje do Nizowkina i uważali go za przyszłego większego nauczyciela-rewolucjonistę, wskutek czego Krawczyński i Klemens wozili go nawet, jak o tem Nizowkinowi mówił sam Orłow, do Finlandyi, do Flerowskiego. Wogóle stosunki Orłowa do głównych działaczy kółka „czajkowców” były na tyle ścisłe, że on był na ty z Krapotkinem, jak o tem zaświadczył robotnik Mitrofanow. Orłow, pragnąc wykazać słusność zaufania jego patronów, zaznajamiał ich z robotnikami, mianowicie ze Szczegłowem, Baczy-nem i innymi, a dla przedszego rozszerzenia rewolu-cyjnych idei między swoimi towarzyszami, podjął się zawiadywać biblioteką robotników. Według własnego zeznania Orłowa, posiadał on u siebie ich książki, które rozdawał do czytania. Fakt ten stwierdza się i w zeznaniu Szczegłowa, według którego Orłow głównie zajmował się rozdawaniem książek, które pożyczal u znajomych lub miał u siebie. Między temi wydaniami Szczegłow widział dwa egzemplarze *Obywatelskiej wojny we Francyi, Odszczepień-ców, Stehki Razina* i kilka egzemplarzy *Historii pe-wnego francuskiego wieśniaka*. Chociaż Szczegłow pó-żniej tę część swego zeznania zmienił, objaśniwszy, że u Orłowa książek zakazanych nie widział, lecz wiarogodność jego pierwotnego zeznania stwierdza się i tą okolicznością, że u robotnika Wasila Tymofiejewa, któremu Orłow według własnego jego ze-znania sprzedał następnie książki, znaleziono spis, w którym między innymi napisana była *Obywatelska wojna we Francyi i Odszczepieńcy*. Odstąpienie przez Orłowa książek Tymofiejewowi stwierdził w swoim zeznaniu Szczegłow.

Niezależnie od zeznań samego Orłowa okazuje się, że u niego był drugi tom prac Lassala, który to tom, jak sam wyznaje, dał do przepisania nieja-kiemu Augustynowi Blumerowi; według świadectwa zaś Winogradowa w jego obecności drugi tom Las-sala, przepisany przez Blumera, oddano Mitrofanowi, który go znowu wręczył Hauensteinowi. To zezna-nie Winogradowa zupełnie stwierdził Mitrofanow, według którego raz Blumer przyszedłszy w jego obecności do Nizowkina, oświadczył, że drugi tom Lassala już przepisał, lecz nie wie, od kogo ma do-stać pieniądze, wskutek czego Mitrofanow, który słyszał od Winogradowa, że Lassala dano do prze-pisania na żądanie „czajkowców”, odniósł rękopism do Hauensteina, a otrzymane od niego pieniądze wręczył Blumerowi.

Mimo powyższych zarzutów, Orłow do winy się nie przyznał. Na początku lata 1873 kółko „czaj-kowców” powiększyło się przez zapisanie się mię-dzy jego członków szlachcica Teodora Lubawskiego, przyczem ujawniły się stosunki z „czajkowcami” mieszkającego w Odessie Wołchowskiego.

Lubawski, który nie ukończył gimnazjum, zeznał, że w roku 1873 udał się z Moskwy na Kaukaz przez Odessę. W tem ostatnim mieście odwiedził swoją dawną znajomą Antinową, wtedy żonę Wołchow-skiego, z którym poznał się i który w rozmowie zaczął dowodzić, że postęp spokojny rozwija się zbyt wolno i że według jego przekonania należy zająć się wydaniem książek, któreby rozjaśniły przy-czynę złego położenia narodu i sposoby polepszenia tego stanu, dodawszy, że przed miesiącem powstała kółka osób, starających się dla podniesienia pozio-mu ukształcenia narodowego rozprzestrzeniać wyda-wane za granicę książki socjalnego kierunku. Woł-chowski radził i Lubawskiemu połączyć się z ich kółkiem, zamieszkać na wsi i rozpowszechniać książ-ki, a przytem wręczył mu program pisma *Naprzód*. Wołchowski, otrzymawszy od Lubawskiego przyrzeczenie współdziałania pieniędzmi środkami w wy-dawnictwie książek, dał mu list do niejakiego Gri-bojedowa (studenta Medyko-Chirurgicznej Akademii) w Petersburgu, przez którego on mógłby poznać książki, w których wydaniu obiecał przyjąć udział. Przybywszy w Kwietniu do Petersburga, Lubawski odszukał Gribojedowa, a przez niego poznał się z Bielajewem, jak się okazało—Czajkowskim, u któ-rego spotkał i Czaruzynem. Czajkowski powierzył Lubawskiemu kilka egzemplarzy *Stehki Razina* i *Pio-sennik*, a także program *Robotników* Lassala, przy-czem wszczęła się rozmowa o kółku; lecz Czajkow-ski bardzo był wstrzemięźliwy z Lubawskim, „jako z nowicjuszem”. Dostawszy od Czajkowskiego dwa listy: jeden do studenta moskiewskiego Uniwersyte-tu Leona Tichomirowa, a drugi do Serdinkowa w Sa-marze, Lubawski pojechał do Moskwy, gdzie poznał się z Tichomirowem, który raz pewnego w obecno-

ści znajomego Lubawskiemu studenta Uniwersytetu Bogdanowa przeczytał im wiersz *Arkadyjski Książę* i odpisał zeń kopię dla Bogdanowa. Od Tichomi-rowa otrzymał Lubawski cyfry na korespondencję z następującego powodu: w liście Wołchowskiego do Gribojedowa były ustępy cyfrowane: wspomniaw-szy w rozmowie o tym liście i o cyfrowaniu, Lubawski zwrócił się do Tichomirowa z prośbą, ażeby ten po-kazał mu używane przez niego cyfry, co Tichomi-row spełnił. Zabawiwszy czas pewien w Moskwie, pojechał Lubawski do Samary i po drodze wstąpił do Saratowa, do swojego znajomego Mosofova, któ-ry, wysłuchawszy jego opowiadań o rozpowszechnia-niu książek, zaczął go namawiać do odstąpienia od udziału w tej sprawie, twierdząc, że on kiedyś sam ludzi się podobnemi rzeczami, lecz że następnie przekonał się, iż stojące na czele kółek osobistości często działają w samolubnych widokach. W Sama-rze Lubawski odszukał Serdinkowa i wręczył mu zarówno list Czajkowskiego, jak i dziesięć egzem-plarzy *Stehki Razina*, otrzymanych w Petersburgu, przyczem w rozmowie z Serdinkowem przekonał się, że ten ostatni do sprawy wydawania książek wtaje mniczony. Przebywszy czas jakiś w Samarskiej gu-berni, wrócił Lubawski do Moskwy, gdzie zabawił do końca Czerwca; w tym okresie widział on się kilkakrotnie z Tichomirowem, którego uwiadomił, że pieniądze na wydanie książek jeszcze nie gotowe. U Tichomirowa spotkał się z Czajkowskim i Czaruzynem, a w końcu czerwca wyjechał do Petersburga, odwiedził Czajkowskiego, lecz nie zastawszy go w domu, prosił jakąś damę, mieszkającą u Czajkow-skiego, oświadczyć mu, że pieniądze jeszcze nie ze-brał. Do powyższego zeznania Lubawski dodał, że miał zamiar na wydanie książek poświęcić kilka ty-sięcy rubli, spodziewając się dostać pieniędzy na za-staw swojego majątku; że Bogdanowowi wręczył otrzymane od Czajkowskiego *Piosennik*, że Wołcho-wski, o ile on mógł wnosić z jego słów, niezupełnie zgadzał się na bezwarunkową potrzebę rewolucyi i pra-gnął głównie podnieść umysłowy poziom narodu, ażeby ten mógł świadomie poznać swoje prawa.

Lubawskiego zatrzymano w Moskwie w końcu września i znaleziono przy nim między innymi kil-ka ludowych książek i cyfry; przy rewizyi u Ti-chomirowa odbytej na początku października, zabra-no litografowany egzemplarz *Odszczepieńców*, sam zaś Tichomirow, bawiący w Petersburgu, został tam przyaresztowany w mieszkaniu Sineguba.

Przy badaniu Lubawski, przynawszy się do sto-sunków z Wołchowskim, Czajkowskim, Czaruzynem, Serdinkowem i Tichomirowem, a także do tego, że otrzymał od Czajkowskiego *Stehkę Razina* i *Piosen-nik*, resztę pierwotnego zeznania zaprzeczył, obja-sniwszy, że sam Bogdanow wziął od niego *Piosen-nik* i że on obiecał Czajkowskiemu dać pieniądze na wydanie ludowych książek w rodzaju *Dwóch genera-łów* Szczedryna i opowiadań Naumowa.

Lubawski za winnego się nie uznał. Tymczasem pierwotne jego zeznanie potwierdza się w świadec-twie Iwana Bogdanowa. Według ostatniego, Lubaw-ski dał mu program pisma *Naprzód* i objaśnił, że istnieje towarzystwo książek z celem przygotowania spokojnego przewrotu społecznego, którego organem jest pismo *Naprzód*, przyczem zaproponował Bogda-nowowi, ażeby też był korespondentem owej gazety. Nadto Lubawski dodał, że w Petersburgu znajduje się tylko oddział tego towarzystwa, a kierownicy jego przebiegają w Genewie; że mieszkający w Odes-sie i pozywany do sprawy Nieczajewa Wołchowski jest członkiem towarzystwa i zostaje z nim w ko-respondencji, że rozprzestrzeniający książki winni w całej Rosyi tworzyć kółka, ażeby każdy, otrzy-mawszy książki od towarzystwa, rozdawał je innym członkom dla rozpowszechnienia; że Tichomirow jest rodzajem komisyonera dla rozprzestrzeniaenia zaka-zanych wydawnictw i że on, Lubawski, chce zasta-wić swój majątek i część oddać komuś na wydawa-nie książek. Oprócz tego widać z zeznania Bogdano-wa, że on przez Lubawskiego poznał się z Tichomi-rowem, widział w mieszkaniu ostatniego kilka egzem-plarzy *Piosennika* i *Stehki Razina*, jakoteż ludowe książki, że Tichomirow zakomunikował jemu i Lu-bawskiemu rękopism wiersza *Arkadyjski Książę* i że od Lubawskiego dostał *Stehkę Razina* i *Piosennik*.

Tichomirow, przynawszy się do znajomości z Lu-bawskim i z Bogdanowem, jakoteż do możliwości zakomunikowania Lubawskiemu *Arkadyjskiego Książę*, reszcie zeznań Bogdanowa i Lubawskiego, rów-nie swojej znajomości z Czaruzynem zaprzeczył. Wołchowski, który podczas zeznań w sprawie Lu-bawskiego badany nie był i dopiero później zaar-esztowany został z powodu nowego przeciw niemu oskarżenia, odmówił dawania jakichkolwiek przy-słedztwie objaśnień.

Sprawę Lubawskiego, w której badanie odbywało się oddzielnie od poprzedniej, przerwano w odnie-sieniu do Tichomirowa, a dotyczące się ostatniego okoliczności, przytoczone jedynie ze względu na ich ścisły związek z przestępną działalnością Lubaw-skiego.

### b) Krajowa.

Nauki. — Ministerium Oświecenia zakomunikowało Kuratorowi Okręgu Naukowego Warszawskiego kopię odezwy Ministra Wojny, względem wypuszczenia w 1878 r. młodych lekarzy i weterynarzy z fakul-tetów lekarskich i weterynaryjnych. Z Warszawskiego

Uniwersytetu medycy mają być wypuszczeni z d. 1 marca, wychowawcy zaś Warszawskiej Szkoły We-terynaryjnej d. 1 Lutego z zastrzeżeniem, aby nie skraćć kursu przedmiotów. Obok tego studenci ma-ją się zajmować głównie desmurgią, chirurgią polową i nauką o epidemiach, pojawiających się przy większem nagromadzeniu wojsk w czasie wojennym. — Naczelnym lekarzem szpitala Jana Bożego, Dr. Rothe, mianowany został członkiem paryskiego Towarzy-stwa Medyczo Psychologicznego.

Oświata i szkoły. — Władza edukacyjna wydała po-zwolenie na otwarcie szkół prywatnych: p. asesoro-wi kolegialnemu Schilder-Schuldnerowi w m. Prza-snyszu na szkołę 4-klasową z pensjonatem; p. Broni-sławie Józefie Wróblewskiej w m. Pabianicach na szkołę 2-klasową żeńską.

Sprawy społeczne. — Zjazd leśniczych i właścicieli lasów z całego Państwa Rosyjskiego ma się odbyć w Sierpniu r. b. w Warszawie. Pierwszy z takich zjazdów odbywał się w Moskwie, drugi w Lipecku, trzeci w Rydze; warszawski ma być z kolei czwartym. Ministerium dóbr państwa wydało już w tym względzie upoważnienie.

Instytucje prywatne. — Na ogólnem nadzwyczajnem zebraniu stowarzyszonych Towarzystwa Kredytowe-go m. Warszawy w dniu jutrzejszym odbyć się ma-jącym, oprócz konkursu na dom, stanowiącego głów-ny przedmiot dyskusyi, przedstawionym będzie pod-obradę wniosek ze strony stowarzyszonych o zmniej-szenie kosztów administracyi. — W d. 25 b. m. odbę-dzie się posiedzenie Towarzystwa Farmaceutycznego, na którym przyznane zostaną wsparcia wdowom i sier-rotom po niezamożnych farmaceutach pozostałym. — Dnia 7 kwietnia w Łodzi odbędzie się najprzód nad-zwyczajne ogólne, następnie zaś zwyczajne zebranie akcyonaryuszów Łódzkiego Banku Handlowego. Na pierwszym dyskutowany będzie wniosek rady o zmia-nie kilku paragrafów ustawy, na zwyczajnem zaś przedstawione zostanie sprawozdanie i bilans, za-twierdzenie dywidendy za rok przeszły, oraz wybra-ni będą członkowie rady i jeden kandydat. — We czwartek, dnia 24 stycznia odbyło się ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów Tow. Akcyjnego Cukrowni Zakrzówek Fabryczny. Na skutek wniosku, przed-stawionego przez jednego z poważnych przemysłow-ców zagranicznych, jako właściciela bardzo znacznej ilości akcyj Towarzystwa, zajdzie zmiana w zarzą-dzie i administracyi, która ma wpłynąć znacznie na polepszenie bytu cukrowni w interesie licznych a nie-reprezentowanych na zgromadzeniu akcyonaryuszów.

Handel i przemysł. — W Lublinie zakładają fabrykę nawozów, preparowanych z kości. — Zdawna oczeki-wana i zapowiadana giełda produktowa przyjdzie nareszcie do skutku i już z d. 12 lutego rozpocznie swoje czynności w gmachu giełdowym, przy ulicy Królewskiej. — W Łodzi kilku przemysłowców zagra-nicznych krząta się około założenia fabryki wyro-bów jedwabnych na wielką skalę.

Dobroczynność. — Biuro Informacyjne Nędzy Wyjątkowej ma podobno rozszerzyć działalność swoją przez bezpłatne strzeżenie pracy osobom, które jej potrze-bują, a któreby innej pomocy nie przyjęły. Jedno-cześnie Lublin zamysła założyć na wzór warszaw-skiego Biura Informacyjnego wydział informacyjny przy miejscowem Towarzystwie Dobroczynności. — W Resursie Kupieckiej odbędzie się dnia 16 lutego bal na dochód ubogich pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Sprawy miejskie. — Znaczniejsi obywatele kieleccy, zgromadzeni w Magistracie, uchwalili zgodnie z wnio-skami urzędowym konieczność natychmiastowego zwiększenia dotychczasowej liczby stróżów, z 10 na 14, z wyznaczeniem każdemu z nich rs. 90 rocznej płacy. W protokole jednak posiedzenia zaznaczyli, że, ponieważ przy obecnej stagnacyi, podrożeniu pierwszych potrzeb do życia i podwyższeniu podat-ków na rok bieżący o rs. 6,782, pobrać się mają-cych z m. Kielc, a mianowicie: podniesienia opłaty podymnej o rs. 2,982 rocznie, podatku drogowego o rs. 335, zwiększenia składki ogniowej o rs. 1,309 i kwaterunkowej o rs. 2,157, ponieść tego wydatku nie mogą, proszą o przeniesienie powyższego sum-my, na utrzymywanie zwiększonej liczby stróżów noc-nych, na rachunek funduszów kasy miejskiej. — W Magistracie piotrkowskim odbywały się narady nad zaprowadzeniem oświetlenia gazowego w mie-ście. Założenia fabryki podejmuje się p. Suligowski, inżynier. Ostateczne rozstrzygnięcie kwestyi odłożo-no do czasu zebrania deklaracyi właścicieli zakła-dów prywatnych co do ilości potrzebnych płomieni. Zachodzi też kwestya, czy miasto w dzisiejszem położeniu rzeczy z niewielkich swoich dochodów będzie mogło ponosić znaczne na to wydatki, mają-ce podobno czynić około 6,000 rs. rocznie? — Wkrót-ce już nastąpi instalacya zatwierdzonego przez władze nowego zarządu gminy izraelskiej, który tak się przedstawia: prezydującym jest p. Ludwik Natanson; członkami: pp. Lesser Lewi, Jakób Lewenberg, Jan Berson, S. Lewental, Henryk Rajchman, N. Fliderbaum; zastępcami: pp. Liber Korngold, Michał Berg-son, Maurycy Fajans, Michał Glücksberg, Herman Wawelberg, Józef Lande i Józef Kirsztrot.

Muzyka. — W koncercie p. Arweda Poortena, (z któ-rego połowa dochodu przeznaczona jest na niezamo-żnych studentów Uniwersytetu), przyjmują udział pa-nie: Jakowicka i Matuszyńska; pp. Zarzycki, Trom-bini i Grossmann.



## c) Zagraniczna.

Nauki.—Gabinet archeologiczny Uniwersytetu Krakowskiego otrzymał w darze wykopaliska z Zardynówki, w pow. Hajszyńskim, na Podolu, oraz grupę popielnic odkrytych w Jabłówku, w pow. Starogradzkim, w Zachodnich Prusach.

Posiedzenia naukowe i uroczystości.—Wydział filologiczny Akad. Krak. wybrał po śmierci Siemieńskiego swym dyrektorem Estreichera (słuchajcie! Estrei cher filologiem!), a D-ra Tarnowskiego sekretarzem. Złożono też wydziałowi rozprawę na konkurs Lindego: *Mowa polska samorodna i wyrazy fenickie*.—Na posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego Dr. Ponikło przedstawił pasożyty z dnru powrotnego (*febris recurrens*), Dr. Wurst preparaty anatomiczne z dziedziny oftalmologii, Dr. Obtulowicz wykladał o endoskopie.—W d. 7 stycznia na odbytem posiedzeniu walnym Towarzystwa Technicznego Krakowskiego potwierdzony został poprzedni zarząd, a 21 stycznia p. Wdowiszewski miał odczyt: *O stylu renesansowym w artystycznym przemyśle czasów naszych*.—Wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego z nagrody ks. Czartoryskiego przyznał 200 złr. Władysławowi Kisielewskiemu za rozprawę: *Reforma Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym*; 100 Walentemu Mikrotowi za rozprawę: *Włódka z Domborza kasztelan Nakielski i jego stosunki z Kazimierzem Jagiellończykiem*.—Na posiedzeniu Lwowskiego Tow. Skończonych Techników, 19 stycznia, p. Pragłowski czytał rozprawę: *O nowym sposobie zwierzchniej budowy kolei żelaznej*.—Na korzyść Towarz. Wzajemnej Pomocy Studentów Uniwersytetu Dr. Oskar Fabian miał 19 b. m. odczyt: *O atomach i próżni*.—W Czytelni Akademickiej 16 stycznia, jako w trzechsetletnią rocznicę przedstawienia *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego, oddeklamowano ten utwór zbiorowo.—W Paryżu 20 stycznia Towarzystwo Geograficzne uczciło publicznym bankietem znanego podróżnika po Afryce, Stanleja. — Wydział przyrodniczo-matematyczny Akad. Krak. 21 b. m. miał posiedzenie, na którym Dr. Rostafiński wyłożył treść rozprawy: *O wielozarodkowości*, nadesłanej przez D-ra Strasburgiera. Następnie odczytano pracę s. p. Stalbergera rodem z Galicji, prof. Akademii Żeglarskiej w Fiume, p. t. *Nowy ogólny sposób oznaczania położenia geograficznego okrętu na morzu za pomocą spostrzeżeń astronomicznych*. Odczytano treść rozpraw D-ra Hoffa, *Przyczynę do znajomości biłka*.—We Lwowie p. Julian Ochorowicz mówił: *O zastosowaniu psychologii*, odczyt na dochód Towarzystwa Naukowej Pomocy.

Szkoły.—W wydziale budżetowym deputowanych austriackich, na wniosek zacieklego polakożercy D-ra Suesa, obniżono dotacje dla Uniwersytetu Lwowskiego i Krakowskiego z 8 na 6 tysięcy, wykreślono uposażenie na nowe gimnazjum we Lwowie i naroszenie zrobiono uwagę przeciwko wydatkom na nadobowiązkowy wykład historii polskiej w gimnazjach galicyjskich!

Literatura.—Oprócz pojedynczych przekładów głównych dzieł Darwina u Schweitzerbartscha w Stuttgardzie wychodzi *Ch. Darwin's gesammelte Werke*; jest już 67 zeszytów.—*Universal Nivelier Instrument als Tacheometer v. I. Szczepaniak*. Autor jest polakiem, inżynierem w austriackiej służbie, dzieło to posiada również i po polsku w rękopisie.—*Neue Studien v. Karl Rosenkranz*—są to małe portrety wielkich ludzi—Spinozy, Leibnitsa, Woltera, Russa, Kanta i Hegla—różny godna poznania.—*Listy z Peru i Boliwii* Wł. Klugera, 2-gie wydanie.—W N-rze 1, wydawanej przez p. Dobrzańskiego *Bibliotece Teatrowe*, Björnstena Björnsona *Nowożeńcy* w przekładzie A. Walewskiego.—Dr. Biliński Leon wydał *Die Gemeindebestuerung und deren Reform*, które krytyka niemiecka bardzo przychylnie ocenia.

Prasa periodyczna.—W N-rze 1 *Deutsche Revue* znajdujemy artykuł Laspeyresa o stosunkach stowarzyszeń akcyjnych przed i po okresie szwindłów 1871 do 73 r. Landgraf porównywa stan państwa socjalno-demokratycznego z feudalnym. Perels mówi o stanie obecnym badań geologicznych w środkowej Europie, Seitz o ulepszeniach szkolnych ze względu na duchowy i cielesny rozwój uczniów. Rozmaite kroniki, krytyki, jak zwykle opuszczamy bez wymienienia.—Nr. 2 *Dwutygodnika Naukowego Krakowskiego* zawiera tylko dokończenia poprzednio rozpoczętych artykułów.—W Prusach wychodzi 140 dzienników katolickich z 379,000 egz., w Austrii 77 z 143,000, w Szwajcaryi 53 z 138,000 egz.—W N-rze 2 *Literaturblattu* znajduje się: Karol v. Holte i Rafael i Michel Angelo, przez Wolfmana.—*Strzechy* Nr. 2 jest błąd, zawiera same dalsze ciągi poprzednich prac—Z trzech wyższych numerów lwowskiego *Szczotka* dwa skonfiskowano.

Wiadomości społeczne.—Dr. Skrejszowski, redaktor *Politik*, ma sobie wytoczony proces o pobicie i zrzuconie z drugiego piętra radcy miejskiego Thierhiera, który pragnął przeszkodzić drukowaniu artykułu przeciwko Riegerowi. Skrejszowski utrzymuje, iż pan T. spity sam spadł ze schodów i poranił się mocno.—P. Wilczycka z Wabcza, niedawno zmarła, zapisała testamentem 33 tysiące marek Towarzystwu Pomocy Naukowej w Prusach Zachodnich, 22,500 na dom polskich sierot i chorych w Chelmnie, 18,000 na polski szpital w Toruniu, 22,000 na polskie zakłady naukowe w Końskoszynej.—Lwów ofiarował hr. Włodzi-

mierzowi Dzieduszyckiemu honorowe obywatelstwo; akt ze wszechmiar godny pochwały.—Khediw na d. 1 stycznia wydał dekret, mocą którego uzbrojonym jest na morzu Czerwonem handel niewolnikami, którzy odtąd ani wyprowadzani, ani wprowadzani być nie powinni w Egiptie.—Naukowa wyprawa pod przewodnictwem panów Woodruffe'a i Macaulay'a wyruszy z Indianopolis. Udział na osobę 5,000 dolarów.—Na dochód ubogich dzieci szkół ludowych krakowskich odegrano teatr amatorski z dość licznym udziałem publiczności.—Pomiędzy Polakami w służbie austriackiej dyplomatycznej znajdują się pp. Karol Bogusławski konsul w Szangai na Chinie i Japonię, Ludwik Udrycki vice konsul w Botuszanach w Rumunii, Elias Zagórski vice-konsul w Fokszanach, Kajetan Zagórski v. k. w Turm-Severynie, Juliusz Jaxa Dembiński w Rewesa w Albanii, Karol Kwiatkowski konsul w Trebizondzie, Józef Miklaszewski agent w Saafeld i Tyberydzie w Syryi.—Minister wysłał, Dr. Stromayer, w wydziale budżetowym oświadczył, iż sprawa o rozgraniczenie dycezyi krakowskiej właśnie się toczy w sferze dyplomatycznej obu państw sąsiednich.—W 1875 r. w Austrii było 906 sądów, tak zwanych, do postępowania drobiazgowego; do nich wniesiono 588,881 spraw o kwoty niżej 25 guld., a 5,001 wyżej, lecz niedochodzących 500 guld., średnio więc 655 skarg na jeden sąd. W Galicji było takich skarg 262,675 niżej 25 guld., a 1,348 wyżej, co na jeden sąd wypada 1,535 skarg. W Bukowinie na 1 sąd wypada 3,365 skarg. W Czechach wniesiono ich 98,039, w Morawii 37,732, w Dolnej Austrii 35,561. Cyfry te wiele uczą o uczciwości społecznej.

Przemysł.—W szczecińskim Towarzystwie Vulkan zamówiono na rachunek rządu rosyjskiego 42 małych łodzi torpedowych.—Na wniosek deputowanego Grocholskiego, wiedeńska Izba uchwaliła zastrzedz sobie w sprawie ugodowej z Węgrami wolną sprzedaż soli bydłowej, co jest ważne dla rolnictwa.—W Krakowie pod tytułem „Izby rękodzielniczej” zawzięto się między rękodzielnikami nowe stowarzyszenie.

Sztuki piękne.—Na Wystawę Zachęty Sztuk Pięknych w Krakowie przybyły: Witolda Pruszyńskiego *Wodne ninyfy*, Ant. Gramatyki *Wpis do szkaplerza*, St. Tondoza *Portret L. Siemieńskiego* (kredką).—Iglu *Kleopatry* przybyła do Londynu.—Sejm lwowski postanowił portretować swych marszałków, przeznaczając na każdy portret 3,000 złr. Pracy podjął się pan Rodakowski i wykończył już ks. Sapiechę. Potem pójdą pp. Potocki, Dzieduszycki, Wodzicki.

Teatr i muzyka.—Teatr Lwowski, z powodu zaszczytnej subwencji, związa operę i wszystkim artystom udzielił dymisyj.—Na benefis p. Wojdołowicz w Krakowie dano nową sztukę Michała Baluckiego, p. t. *Po śmierci ciobuni*; na scenie krakowskiej gotują przedstawienie operetki Straussa *Nietoperz*.—We Lwowie ma być przedstawionym dramat Sewera *Dwie*.—W Poznaniu przedstawiono tragedję Juliana z Poradowa p. t. *Księżna Goryslawa*, w której się odznaczyli pp. Heneman, Wolański i Podwyszyński.—Niemcy obchodzili 22 stycznia na wszystkich teatrach 80 rocznicę Karola v. Holtei.—Sztuka Pawła Liudaua *Johannistrieb*, doznała w Hamburgu niesłychanego powodzenia.—Sardou napisał nową sztukę *Les Bourgeois d'Arcis sur Orge*, dla teatru Vaudeville.—We Lwowie 22 b. m. przedstawiono pierwszy raz *Duch Wojewody Grosmana*.

Zmarli.—Dietl Józef, doktor medycyny, b. rektor Jagiellońskiego Uniw., dyrektor wydz. nauk przyrodniczych w Akademii, prezydent Krakowa, członek Izby Panów, ur. 1804 r., † 19 stycznia w Krakowie (życiorys w tektwie).—Badeniowa hr., przewodnicząca Tow. Ś-go Wincentego à Paolo we Lwowie, głośna ze swej dobroczynności.—Dr. Erwin v. Barry, podróżnik po Afryce, w 1869 r. doktoryzowany, jako lekarz bawarskich strzelców odbył kampanię francuską. W 1875 r. odbył drogę z Tour w Tripolitanię do gór Garian i został wysłany przez Tow. berlińskie do Afryki podróżnikowej; zwiedził środek kraju Thaurigów, góry Ahaggar; w sierpniu 1876 r. przedsięwziął podróż do Ghat i 1877 r. w styczniu ztamtąd powrócił. W tymże jeszcze miesiącu przedsięwziął drogę do Ahir, lecz obdarty z pieniędzy i narządził musiał powracać do Ghat, gdzie † 2 grudnia 1877 r.—Edward Szligiet, dyrektor teatru peszteskiego, dramaturg, który około 100 sztuk oryginalnych napisał, † w Peszcie na pęknięcie serca 17 stycznia.—Regnault H. W., dyrektor fabryki porcelany, słynny z prac nad ciepłikiem i chemicznych odkryć, autor wielu podręczników, † w 67 roku życia w Autenil.—Becquerel, prof. muzeum hist., naturalny członek Akademii, znany ze swoich prac nad elektrycznością i magnetyzmem.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Ubiegły tydzień był rzeczywiście, jak przewidywaliśmy, chwilą decydującą rozwiązanie się rosyjsko-tureckiego starcia. Dotychczas wszakże warunki, na których

pokój zawarty został lub zawartym być może, nie okazały się ogólnej wiadomości w żadnym urzędowym doniesieniu. Do dziś krążą jeszcze po dziennikach rozmaite ich warianty i tłumaczenia. Mimo jednak różnic szczegółowych, podstawowe żądania Rossyjsa we wszystkich pogłoskach identyczne, a rzeczywistość ich w podawanej formie jest o tyle już niezawodną, że półurzędownie zakomunikowane zostały gabinetowi angielskiemu, który w parlamencie poczynił nad nimi swoje uwagi. Według informacji tam poczerpniętych, Rossyja domaga się, ażeby: Bułgaria w swoich etnograficznych granicach była państwem autonomicznym, rządzone przez chrześcijańskiego gubernatora, mianowanego przez Rossyję; Czarnogórze otrzymało niezależność z nieznacznym rozszerzeniem terytorium; Rumunia i Serbia były również państwami niepodległymi, pierwsza z wynagrodzeniem terytorjalnym, druga ze sprostowaniem granicami; żeby wreszcie Bośnia i Hercegowina pozyskały na równi z innymi prowincjami autonomiczną organizację. Koszta wojenne mają być pokryte albo gotówką, albo ziemią, albo innym równoważnikiem. Nadto w przepływie przez Dardanele interesa rosyjskie będą uwzględnione. Northcote, krytykując w parlamencie ten projekt przyszłego pokoju, między innymi powiada: Rossyja chce sama wybierać książąt dla Bułgarii, tym sposobem w samym środku Turcyi powstanie nowe silne państwo pod rządami księcia przychylnego Rossyji. Inne punkta, jak np. koszta wojenne, są bardzo elastyczne i wymagają kongresu europejskiego.

Niebezpieczeństwo interesów angielskich na Wschodzie, zagrożonych rosyjsko-tureckim porozumieniem się bez pośrednictwa mocarstw trzecich, wywołało w parlamencie dawno niepamiętną burzę. Powodem do niej było żądanie nadzwyczajnego kredytu dla popierania i obrony praw angielskich w Turcyi. Naturalnie, stronnicy bezwzględnej neutralności wystąpili przeciw wnioskowi i zakrytej nim chęci wywołania wojny, której kraj sobie nie życzy. Tymczasem lord Beaconsfield i inni sternicy rządu domagali się kredytu na wszelki wypadek, choćby dla tego, ażeby „Anglia silniej wystąpić mogła na kongresie”. Dotychczas spór ten załatwionym nie został. Nadmienić tylko wypada, że jeśli lord Beaconsfield pragnie wojnę wywołać, to ją z sześcioma milionami funt. szterl., przeznaczonemi na poparcie stanowiska w kongresie, rozpocznie, a na dalsze wydatki parlament musiałby się zgodzić.

Znowu telegraf intryguje Europę w imieniu Austrii. Donosi on, że „poseł austriacki w Petersburgu doręczył księciu Gorcekowowi notę, w której powiedziano, że Austria zajmie Bułgarię, po zawarciu pokoju, uważa za sprawę europejską, którą rozstrzygnąć może tylko porozumienie innych mocarstw”.

Czyżby się węzeł znowu bardziej płątać zaczął? W Berlinie mówią, że „sytuacja jest bardzo poważna”. Poważna, czy nie, oby już jak najprędzej jasną się stała.

## DO WSZYSTKICH.

— P. Rusławowi w Warszawie. Przepraszamy za zwłokę. Bardzo pouczający artykuł Pański o „Handlu Księgarskim w Stanach Zjednoczonych” jest dla nas za specjalny, a nadto przybył do nas w chwili, kiedy artykułów o Ameryce na naszą potrzebę mamy dosyć. Co do współpracownictwa w *Swiecie*, ra- czy się Pan osobiście porozumieć z redakcją.

Do dzisiejszego numeru dla wszyst. prenum. dołącza się arkusz Panteonu (Ziemia i jej mieszkańcy ark. 21); a dla prenum. prowincjonalnych, Ogłoszenie domu handlowego Tomicki i Grodzki w Warszawie.